SPORT WODNY



Konkurs muzyczny P. U. W. F. i P. W.

§ 1.

W celu ustalenia hymnu sportowego, oraz marsza sportowego — P. U. W. F. i P. W. organizuje przy pomocy „Polskiego Związku Dziennikarzy Sportowych" — konkurs muzyczny.

§ 2.

Przedmiotem konkursu będą:

a) *Hymn sportowy* (ze śpiewem) skomponowany na orkiestrę dętą. Hymn ten będzie wykonany przy rozpoczęciu poważniejszych zawodów sportowych, przeglądach i t. p. Słowa do hymnu sportowego winny być poważne, w miarę uroczyste, lecz jednocześnie pełne młodzieńczego optymizmu.

b) *Marsz sportowy* (ze śpiewem) dla junaków i sportowców. Marsz ten będzie używany przy defiladach, marszach i t. p. (pieśń marszowa). Słowa pieśni marszowej sportowców winny tchnąć pogodą, radością, hartem ducha, umiłowaniem sportu, a nawet wesołością.

§ 3.

Państwowy Urząd W. F. i P. W. przeznaczył na konkurs następujące nagrody:

a) *złotych 1.500* — jako nagrodę łączną za muzykę i słowa hymnu sportowego.

W wypadku, gdyby muzyka i słowa hymnu sportowego nie stanowiły dostatecznie zwartej i jednolitej całości, Komisja Sędziowska może odznaczyć jedynie muzykę, lub tylko słowa hymnu.

Przy tym podziale wartość pierwszej nagrody za muzykę hymnu wyniesie 1.000 złotych, za słowa 500 złotych.

b) *złotych 1.000* — jako łączną nagrodę za muzykę i słowa marsza sportowego.

W myśl powyższej zasady Komisja Sędziowska może zakwalifikować do I-szej nagrody tylko muzykę marsza sportowego, lub też tylko słowa.

W wypadku wyróżnienia jedynie muzyki — Komisja przyzna za marsz 750 zł., wyróżniając jedynie słowa marsza Komisja przyzna 250 zł.

§ 5.

W konkursie mogą brać udział zarówno pojedyńcze osoby, jak i zespoły.

Prace na konkurs w postaci 3-ch jednobrzmiących egzemplarzy nut (na fortepian) z podłożonym tekstem słownym należy przesyłać pod adresem: P. U. W. F. i P. W. ul. Myśliwiecka 5, Warszawa.

Każdy egzemplarz nut musi być podpisany godłem autora lub zespołu autorskiego. Do nut należy załączyć zapieczętowaną kopertę zaopatrzoną w to samo godło. W kopercie tej winny być podane: imię, nazwisko oraz dokładny adres autora lub autorów.

§ 6.

Komisja Sędziowska nie będzie rozpatrywała samych nut bez tekstu słownego lub samych słów bez muzyki.

§ 7.

Prace na konkurs można przesyłać do dnia 15 października 1935 r. Po tym terminie prace będą zwracane.

§ 8.

Do komisji Sędziowskiej konkurs P. U. W. F. i P. W. zaprosi przedstawicieli sfer muzycznych, literackich i sportowych.

§ 9.

W wypadku nieprzyznania nagrody pierwszej lub pierwszych nagród w wymienionych działach konkursu — Komisja Sędziowska ma prawo rozdzielić ogólną sumę nagród na mniejsze nagrody.

Poszukuję towarzysza wycieczek wodnych w celach naukowo krajoznawczych — pożądana umiejętność fotografowania. Oferty do Redakcji „Sportu Wodnego"



KAJAKI SKŁADANE „DELFIN"
oraz akcesorja do kajaków
WYTWÓRNIA KAJAKÓW SKŁADANYCH
JULJAN WOYSŁAW, Warszawa, Leszno 15 tel. 11-04-91 i 11-06-81

Z POWODU LIKWIDACJI STOCZNIA ŁODZI „NAVICULA"
Wyprzedaje: łodzie, okucia, wiosła, materjały drzewne i maszyny do obróbki
niżej ceny kosztu
Warszawa, ul. Mazowiecka 8 (F. Staszewski) telefon do godz. 15-ej 9-58-34, od godz. 15-ej 6-70-85.

Nabędziemy kilka kompletów Dwutygodnika «SPORT WODNY» za 1931 r.
Prosimy porozumieć się z Administracją listownie, lub tel. 670-56

ROK II WARSZAWA, CZERWIEC 1935 R. Nr 10

Sport Wodny

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM WIOŚLARSTWA ŻEGLARSTWA PŁYWACTWA TURYSTYKI WODNEJ JACHTINGU MOTOROWEGO

Przyjazd do Polski żeglarzy z zagranicy

Przywykliśmy patrzeć na jachting tylko z dwóch punktów widzenia: przyjemności, albo też dydaktycznego (propaganda morza) i wychowania fizycznego. Zapominamy natomiast zupełnie o znaczeniu gospodarczem żeglarstwa sportowego. Nie mam tu na myśli tylko korzyści jakie mają pewne gałęzie przemysłu z budowy jachtów i dostarczania dla nich sprzętu i wyposażenia. Nie ulega kwestji, że pewna ilość przedsiębiorstw przemysłowych już dziś dla sportu żeglarskiego pracuje i z czasem, kiedy sport ten zatoczy szersze kręgi, może powstać specjalizowany przemysł jachtingowy, jak to jest w wielu krajach o starej tradycji i kulturze żeglarskiej.

Tematem moich dzisiejszych rozważań są korzyści dla ogólnej gospodarki narodowej, które mogłyby wyniknąć przy odpowiedniem wyzyskaniu sportu żeglarskiego do ściągania rokrocznie znacznej ilości żeglarzy cudzoziemskich do Polski na regaty międzynarodowe. Terenów dla żeglarzy ciekawych mamy sporo. Zarówno nasze jeziora, jak i nasze wybrzeże nadają się doskonale do urządzania regat w bardzo interesujących warunkach. Trzeba tylko tereny te odpowiednio pod względem sportowo-żeglarskim zagospodarować t. zn. przedewszystkiem opatrzyć w dogodne przystanie i kulturalnie urządzone kwatery, umożliwić do nich łatwy dojazd, zarówno koleją jak i samochodem i *last not least* — przygotować odpowiednią flotylę *„gościnną"*, żeby goście nie potrzebowali koniecznie przywozić własnych jachtów. Wyobrażam to sobie w ten sposób, że poszczególne kluby jachtowe posiadałyby pewną ilość jachtów klubowych, służących normalnie do ćwiczenia młodzieży, a w razie zaproszenia obcych żeglarzy, oddawanych do ich dyspozycji. Musiałyby to być łodzie typów międzynarodowych, niedrogie. Nadawałyby się do tego celu: na morzu „Star'y", jako klasa najbardziej na świecie rozpowszechniona, potem na wodach śródlądowych, a nawet w zatoce gdyńskiej bardzo dobrze możliwe do użycia 12 m² „scharpie" i 12-stopowe „dingy". Być może, że i t. zw. „olimpijka" 10 m², będzie mogła mieć wyłączne zastosowanie, jeżeli przyszłoroczna Olimpjada zapewni jej trwałość. Kwestją tą powinien zająć się PZŻ i po przeprowadzeniu odpowiednich studjów ustalić pewne typy jachtów, których rozpowszechnienie będzie potem wszelkiemi stojącemi mu do dyspozycji środkami popierał i propagował.

Podobną politykę prowadzą, zdaje się z dobrym skutkiem, już od szeregu lat organizacje żeglarskie zagranicą. Tak np., urządza co roku Król. Węgierski Yachtklub regaty międzynarodowe na jeziorze Balaton, przyczem dla obcych zawodników są przewidziane wszelkie możliwe udogodnienia i zniżki. We wrześniu roku bieżącego odbędą się tam również takie regaty, połączone zresztą z różnemi innemi imprezami sportowemi i propagandowemi, przyczem k. W. Y. K. stawia do dyspozycji obcych zawodników 50 jachtów typu olimpijskiego. Podobne zawody organizuje rokrocznie austrjacki Yachtklub na jeziorze Wörter. Przy odpowiedniej organizacji i propagandzie, ściągają takie regaty poważną ilość żeglarzy, którym towarzyszą często ich rodziny, sprawozdawcy sportowi etc., z których każdy zostawi trochę pieniędzy w Polsce, i zaznajomi się z taką jej częścią, której z pewnością inaczej nie byłby odwiedził. Ponieważ takie regaty odbywałyby się każdym razem w innym terenie, raz w Gdyni, drugi raz w Augustowie, to znów w Chojnicach lub na jeziorze Kiekrz pod Poznaniem, różne miejscowości korzystałyby materjalnie, a cudzoziemcy poznawaliby coraz to inne części Polski.

Zapotrzebowanie na jachty i ich wyposażenie wzrosłoby, przez co podniósłby się odpowiedni przemysł, a żeglarze nasi mieliby sposobność mierzyć się z obcymi zawodnikami, nie potrzebując wyjeżdżać z kraju i wywozić zapracowany grosz za granicę. Należałoby tylko powściągnąć notoryczną polską gościnność, posuwającą się do stosowania zasady: „zastaw się a postaw się". Musimy uczyć się pewnych metod od obcych. Tak np. o ile wiem, zawodnicy nasi, którzy byli w zeszłym roku w Kilonji, czuli się tam bardzo dobrze i mieli pełne zadowolenie sportowe, choć za udział we wspólnym żeglarskim bankiecie musieli zapłacić po 3 czy 4 marki za jedzenie i osobno pewną kwotę za napoje. Gościnność wyrażała się tam raczej w ułatwieniu życia, jaknajdalej idącej pomocy sportowej i zapobieganiu obdzierania gości ze skóry, przez ścisłe ustalenie cenników i skrupulatne ich kontrolowanie.

Rzucam garść tych uwag pod adresem Urzędów i instytucyj zajmujących się kwestją rozwoju i propagandy turystyki. Część przewidzianych co roku na ten cel środków finansowych należało przeznaczyć na popieranie naszych klubów żeglarskich w usiłowaniu stworzenia flotyli, jak ją wyżej nazwałem, *gościnnej*.

Polski Związek Żeglarski powinien tę kwestję wciągnąć do rejestru swoich prac programowych.

[illegible]



„DAREM POMORZA" NAOKOŁO ŚWIATA



„Dar Pomorza" na redzie Fort de France, na przednim planie wśród rybackich łodzi typowa łódź martynikańska
Fot. M. Simon

Antylle

Ten, kto przy współdziałaniu muzyki chciał wmówić w społeczeństwo polskie, że „świat jest wszędzie taki sam", godzien jest kary za wprowadzenie ludzi w błąd. O ile zaś czynił to nieświadomie, winien czemprędzej zrehabilitować się piosenką o wręcz przeciwnej treści.

Po oderwaniu się od kontynentu Europy, Martynika stanowi dopiero trzeci punkt postoju „Daru Pomorza", a już z zupełnem przekonaniem możemy zarzucić autorowi tego przeboju zupełną nieświadomość rzeczy. Inni tu ludzie, inne zwyczaje, klimat, roślinność, może i ląd.

To też wrażenia z dostępnego nam skrawka wysepki chciwie chłoniemy wyczulonemi przez dłuższą monotonję zmysłami, chcąc w czasie krótkiego postoju wyrównać jednostronność wrażeń okrętowych. A sposobności nie brak, tem więcej, że nawet program wyszkolenia tym razem idzie nam na rękę. Od rana aż do wczesnego popołudnia dano nam czas na żeglowanie na łodziach ratunkowych, wymycie ich koło strumyka, wpadającego do zatoki o kilka mil od „Daru", i przywiezienie zapasu piasku do szorowania.

W żywych podmuchach passatu nasze dwa gigi i dwa kutry mkną na przeciwległy brzeg. Jednomasztowe, cięższe kutry, jakkolwiek wyszły nieco wcześniej, już w krótkim czasie pozostają za gigami. Młodzi uczniowie cieszą się głośno, że tak bez trudu je „bierzemy".

Z czego się zresztą nie cieszą. Na brzegu, po wylądowaniu, nasza czterdziestka urządza taką wrzawę, jakby się zbiegła conajmniej połowa warszawskiej „Poniatówki". Nawet nawoływania oficerów, czynione zresztą bez głębszego przekonania, niewiele pomagają. Chłopcy pływają, nurkują pod łodziami, skaczą do wody, a nawet improwizują piłkę wodną świeżo zerwanym orzechem kokosowym. Entuzjam ze swobody, słońca i plaży i przezroczystej wody jest tak wielki, że, aby go wyrazić, sięgać muszą aż do słownika niezbyt salonowego. Tylko niewielka mniejszość udala się na poszukiwanie muszel, korali i jeżyków morskich, a zaledwie kilku dobiera się (za pozwoleniem właściciela) do kokosowych palm. W tym wybuchu młodej energji ani się spostrzegamy, kiedy łodzie zostały wyszorowane, a worki napełnione piaskiem. Trzeba wracać, aby zastąpić w pracy na statku kolegów, udających się na ląd.

Zresztą ze statku także jest na co popatrzeć. Trzy czwarte widnokręgu zamyka malownicza linja zielonych gór i wzgórz z gęsto rozrzuconemi na ich amfiteatrze plamkami domków i serpentynami dróg; lornetka zbliża i tak niezbyt odległą część nadmorską miasta, a obok statku co chwila przesuwa się żagielek lekkiej, rybackiej, bezpokładowej łodzi, balansowanej przy silniejszym wietrze wychyłem całego ciała za nawietrzną burtę. Balansujący utrzymuje się w tej pozycji dzięki trzymanej w ręku lince, umocowanej na dnie łodzi, z kilkoma węzłami dla lepszego chwytu. Kilu (ni miecza) łodzie nie posiadają, co umożliwia wyciąganie ich na brzeg, a boczny opór przy lawirowaniu daje głębokie, niedrążone, o dosyć ostrej linji dno.

Dnia następnego program odwrócony. Inna partja ma żeglowanie, my zaś po jej powrocie udajemy się na ląd. Niewielkie miasto niewiele stosunkowo zawiera ciekawego, wystarcza nam to jednak, by skonstatować, że w ciągu kilku godzin niesposób zwiedzić je nawet powierzchownie. Szczególnie, gdy się z prawdziwą przyjemnością obserwuje niezwykle harmonijny i pełen gracji chód Murzynek, albo w porcie podziwia się nieraz uderzająco piękną budowę czarnych, półnagich robotników.

Zabrawszy zapas słodkiej wody, jarzyn i owoców, o północy z dn. 15 na 16 listopada ruszamy dalej.

Pomyślny wiatr popycha statek z przeciętną szybkością 6 węzłów, pogoda sprzyja dobremu nastrojowi i po robotach, przez cały wieczór, ze śródokręcia płynie na rufę chóralny śpiew. Niekłopotliwe godziny wachty schodzą tak niespostrzeżenie, że nieraz zaczętą myśl trzeba dokończyć już w kabinie. Dużą przyjemność stanowi także studjowanie map tych okolic, gdzie w łańcuchu Małych i Wielkich Antyllów wyspę od wyspy oddzielają zazwyczaj niezbyt szerokie pasma wody. Jakie niewyczerpane sportowo-turystyczne możliwości dla jachtingu!

W drodze otrzymujemy zaproszenie od gubernatora St. Thomas zawinięcia na tę wyspę. Niestety, musimy z na-



Grupa [illegible] z „Daru Pomorza" pod [illegible]
Fot. M. Simon



Główna brama dawnej hiszpańskiej twierdzy w San Domingo
Fot. S. Gwiazdowski

darzającej się okazji zrezygnować. W programie naszym niema żadnych luzów, w wypadku zaś spóźniania się będziemy skracać postój w przewidywanych planem portach. Do St. Thomas nie mamy jakoś szczęścia. Przed dwoma laty, gdy „Dar Pomorza" stał w Fort de France przez sześć tygodni, także nadeszło zaproszenie, lecz akurat, gdy statek musiał już wracać do Europy.

Nad ranem dziewiętnastego listopada wynurza się po prawej burcie niska linja brzegu i tego dnia stajemy na kotwicy w dwuch milach od stolicy republiki Dominikańskiej. Płytka woda i takiż kanał nie pozwalają podejść bliżej. Na szczęście nasza robocza motorówka jeszcze kaprysić nie zaczęła. Wyładowana po brzegi kursuje kilka razy dziennie tam i zpowrotem.

Odwiedza nas konsul honorowy, dwu obywateli polskich i były kozacki pułkownik, który po dłuższych wędrówkach oparł się aż tutaj. Powodzi mu się nieźle, gdyż pełni obowiązki szefa ochrony osobistej prezydenta, skarży się tylko, że pas z nabojami i duży kolt stanowią ogromnie niewygodne uzupełnienie codziennej gadreroby.

Grupkami i pojedyńczo zwiedzamy miasto, które obecnie liczy do 60.000 mieszkańców. Stare dzielnice o wąskich, pagórkowatych uliczkach, z ruinami dawnej fortecy i kilku monumentalnemi kościołami, z których jeden szczyci się posiadaniem oryginalnych szczątków Kolumba (autentyczne szczątki odkrywcy Nowego Świata spoczywają także w Aragonji, nie licząc Hawany, Port au Prince i kilku innych miejscowości), nie wiele różnią się z wyglądu od miast hiszpańskich, nowe dzielnice natomiast są utrzymane w charakterze miasta-ogrodu, lub w typie miast amerykańskich.

Prezydent Trujillo, rządzący tą republiką murzyńską, w szybkiem tempie modernizuje wojsko, wzmacnia ochronę granic, porządkuje stosunki wewnętrzno-polityczne oraz skarb, ulepsza drogi, i równocześnie nie zaniedbuje rozszerzania kontaktów z zagranicą. W kraju ma oczywiście licznych wrogów, którzy w oczekiwaniu na sposobniejszą chwilę tymczasem dają znać o sobie demonstrancjami, bombami, albo w podobny sposób. Od nich właśnie asekuruje się Trujillo kozackim pułkownikiem Klusem. Przeciw zewnętrznym wrogom (Kuba, Haiti) ma się budować również wojenną flotę. Narazie zaczątek jej stanowi parowiec towarowy o nośności około 2.000 ton, z dwoma działami i kilku karabinami maszynowemi.

Pomimo tego, że listopad należy do chłodniejszej pory, gorąco dokucza w niemożliwy sposób. To też bez żalu prawie wracamy na swój statek, gdzie można ubrać się swobodniej, nie pieką mury i chłodzi lekki wietrzyk z morza.

Program postoju uzupełnia konferencja z dziennikarzami, czego wynikiem jest kilka artykułów o naszym kraju i o „Darze", ćwiczenia szalupowe i w wolnych chwilach pisanie listów. Za kilka godzin zabierze je do Europy statek pocztowo-pasażerski, stojący na kotwicy obok nas. Pokaźnym swym kadłubem przesłonił on nam widok na resztki ongiś groźnego krążownika U. S. Navy, wyrzuconego przez kilkunastu laty na płytkie miejsce, pod sam brzeg, olbrzymią falą, spowodowaną wybuchem wulkanu podmorskiego na morzu Karaibskiem. Duża część miasta, którą w tym samym dniu zburzył do szczętu orkan, jeszcze obecnie nosi ślady katastrofy.

Po niespełna trzydniowym postoju opuszczamy wieczorem nasze dość niewygodne i niezbyt bezpieczne miejsce kotwiczne i kierujemy dziób „Daru Pomorza" w stronę Kanału Panamskiego, od którego dzieli nas tylko już 800 mil.

Colon

Jakkolwiek zarówno locje, jak i amerykańskie mapy pilotowe informują, że w drodze do kanału Panamskiego powinniśmy mieć jeszcze niezły passat, kierunek i siła wiatru są wciąż zmienne. Od czasu do czasu przeciągają nawet szkwały i pada deszcz. Nasze domysły, że w atmosferze musiały nastąpić jakieś zaburzenia, potwierdza depesza meteorologiczna, donosząca, że 200 mil na zachód od San Domingo przeciągnął silny cyklon.

Deszcz zresztą uważamy za miłego gościa, gdyż z jednej strony nieco łagodzi upał, z drugiej dopomaga wielkiemu praniu, jakie odbywa się w przewidywaniu, że za kanałem, na Pacyfiku, słodka woda z pod klucza starszego oficera nie wydostanie się inaczej, jak tylko na skąpe miarki do picia i do gotowania.

Lekarz tymczasem naczytał się grubych książek i zaczyna karmić nas chininą: dwa razy dziennie przez trzy dni, a po upływie czterodniowej przerwy — znowu od początku. Żeby nie kusić złego. W ostatniej podróży jeden z oficerów „Daru" przywiózł z Lobito jakąś gorączkę afrykańską i ma z tym teraz sporo kramu.

Dnie na morzu wypełnia służba, roboty okrętowe i wykłady, pozatem nawigujemy bez sensacyj, brasując tylko, wślad za wiatrem, dość często reje.

Na szósty dzień żeglugi zbliżamy się do lądu. Na kursie długą, nierówną, mglistą plamą zarysowuje się grzbiet gór. Wpobliżu statku coraz częściej przepływają pnie drzew, spławione potokami do zatoki.



Na jednej z tam przy śluzie w Gatun
Fot. M. Hawryłkiewicz

Obserwujemy z zainteresowaniem ewolucje pojawiającej się eskadry amerykańskiej samolotów, od której nagle jeden odrywa się, i nadlatując pełnym gazem, trzykrotnie okrąża „Dar Pomorza". Jest to lotnicze powitanie, odpowiadające zniżeniu bandery przez statek. Po odsalutowaniu, kiwamy sobie przyjaźnie czapkami i rękoma, bowiem samolot zdążył już się zniżyć i przepływa wolno na wysokości jakich trzydziestu metrów.

To pierwsze zetknięcie się w obecnej podróży z przedstawicielami amerykańskiej siły zbrojnej i akt kurtuazji, należny w zasadzie tylko okrętom wojennym, jak później okazało się, był zapoczątkowaniem całej serji podobnych aktów i to zarówno ze strony władz morskich i wojskowych, jak też cywilnych.

Gdy przed południem stajemy na kotwicy wpobliżu nabrzeży Cristobalu, przybija do prawego trapu motorówka U. S. Navy, którą w imieniu komendanta wojennego portu przybywa z powitaniem oficer. Zaprasza jednocześnie do korzystania ze wszystkich urządzeń sportowych wojska i marynarki. W mniemaniu, że zaszła tu pomyłka co do charakteru „Daru Pomorza", informujemy go podczas rozmowy, że jakkolwiek statek nasz stanowi własność rządową, należy wszakże do marynarki handlowej, a nie wojennej. Okazuje się jednak, że Amerykanie są poinformowani dobrze.

Podczas, gdy kapitan składa wizyty oficjalne, wolna od zajęć część obsady wyrusza na zwiedzanie miasta, a właściwie dwuch. Stoimy w Strefie Kanałowej (Canal Zone), która dość wąskim pasem przecina republikę Panamską na dwie części. W strefie tej, po stronie Atlantyckiej leży miasto Cristobal, po stronie Pacyfiku zaś Balboa. Tuż obok nich leżą Panamskie stare porty: Colon i Panama, przyczem Cristobal i Colon są oddzielone tylko torem kolei, przebiegającej przez ich środek. Miasta uzupełniają się nawzajem nietylko pod względem swoich nazw (Cristobal-Krzysztof, Colon-Kolumb), lecz także pod każdym innym względem. Osiedle amerykańskie, to urządzenia portowe, poczta, banki, siedziby towarzystw okrętowych i licznych konsulatów. Ulice dość szerokie, ocienione rzędami wysokopiennych palm, oddzielających od chodnika budowle luksusowe, o wyglądzie dużych will, lub pałacyków. Colon zaś — to miasto o wszystkich elementach. Kwitnie tu przedewszystkiem handel, uprawiany przez tak wytrawnych kupców, jak hindusi, japończycy, chińczycy i różna mieszanina kolorowych ras. Ulice dosyć wąskie, z charakterystycznemi podcieniami, chroniącemi zarówno wystawy sklepów jak i przechodniów od słońca i od deszczu. Właśnie trafiliśmy na porę mokrą, możemy więc ocenić praktyczną wartość tej konstrukcji.

W ciągu następnych dni postoju, poza krótkiemi godzinami wyjścia na brzeg, oraz wycieczki do szluz w Gatun, jesteśmy przez cały czas zaabsorbowani gośćmi. Kilkudziesięciu żołnierzy, kilku marynarzy i urzędników z rodzinami, Polaków amerykańskich okupują statek od rana do wieczora. Oprowadzamy ich, pokazujemy urządzenia statku, podejmujemy w miarę naszych skromnych środków. Odjeżdżają i znów wracają, po kilka razy, przywożąc swych amerykańskich przyjaciół i znajomych, których zkolei sami już oprowadzają po przedziałach „Daru".

Przy zwiedzaniu szluzy w Gatun towarzyszy nam kapitan, Czech i kilku żołnierzy Polaków. Ci, chociaż nie mogli być na „Darze", wiedzą nietylko o naszem przybyciu, lecz także o dobrem wrażeniu, jakie sprawił statek na ich władzach i na kolegach. Nie ukrywają z tego zadowolenia. Pomimo dość silnego zamerykanizowania, byłoby im jednak przykro, gdybyśmy się zblamowali. Świadczy to o niewygasłem przywiązaniu do starego kraju i o pokaźnej dozie ambicji narodowej.



Grobowiec Krzysztofa Kolumba w klasztorze w San Domingo
Fot. M. Hawryłkiewicz

Jakkolwiek cała Strefa Kanałowa stanowi obszar ufortyfikowany, a okolice przylegające do samych szluz, szczególnie są strzeżone, oprowadzono nas po wszystkich ciekawszych urządzeniach technicznych, zezwalając nawet na ich fotografowanie. Ujęci tą uprzejmością, staramy się nie nadużywać zezwolenia.



Korsarski kapitan, który przywiózł na „Dar Pomorza" Neptuna ze świtą na „święto równika".

Wróćmy jednak do samego Kanału. Przecina on przesmyk Panamski w okolicy, gdzie pasmo gór zniża się do wysokości 276 stóp nad poziom morza. Od strony Atlantyku Kanał biegnie doliną rzeki Chagres, następnie przez wyłom w pasmie górskiem, a wreszcie doliną Rio Grande — po stronie Oceanu Spokojnego. Długość Kanału wynosi około 65 kilometrów, na których przejście zużywa statek około 8 godzin.

Przez zbudowanie wpoprzek doliny Chagres tamy zatrzymano wody tej rzeki, które, rozlewając się, utworzyły jezioro o powierzchni 163 mil kwadratowych. Lustro jeziora znalazło się na wysokości 85 stóp ponad poziomem morza, i o tę wysokość można było zmniejszyć przekop górski. Aby przedostać się z Atlantyku do jeziora, trzeba przejść przez trzy baseny szluzy w Gatun, a znowu dla zniżenia się po stronie Pacyfiku, trzeba szluzować w Pedro Miguel i w Miraflores.

Dla zapewnienia w jeziorze odpowiedniej ilości wody na wypadek lat suchych, w górnym biegu rzeki Chagres zbudowano drugą tamę, która rezerwuje 22 miljardy stóp sześciennych wody.

Jakie znaczenie posiada Kanał dla żeglugi łatwo się zorjentować, jeśli się weźmie pod uwagę, że, np. odległość z Nowego Jorku do San Francisco skrócił on z 13.135 do 5.262 mil, a z Liverpoolu do San Francisco z 13.502 do 7.836 mil.

Po powrocie na statek zastajemy na nim Władysława Wagnera! Jak już Czytelnicy „Sportu Wodnego" wiedzą, opuścił on jesienią 1932 roku Gdynię na dosyć prymitywnym jachcie, na którym akurat przed rokiem przybył do Colon. Tu zmuszony był swą „Zjawę" sprzedać, ponieważ mocno zniszczona i zużyta do dalekiej podróży już się nie nadawała. Po dłuższych poszukiwaniach udało mu się znaleźć niewykończony kadłub stateczku żaglowego o pojemności około 25 ton. Zakupił go ze środków uzyskanych za „Zjawę I", korespondencje do pism, za książkę o swej podróży na odcinku Gdynia-Colon, z subwencji Zw. Harc. Polskiego i pożyczek. Pracował nad nim kawał czasu, w czem nieraz pomagali mu „nasi" żołnierze w czasie swych urlopów. „Zjawą II" próbował już żeglować i jest z niej zadowolony. Jakkolwiek liczy, że na swój nowy jacht wydał około 2.000 dolarów, brak mu jednakże jeszcze wielu rzeczy, a między innemi balastu. Żelazny kosztuje 20 dolarów za tonnę, a kamienia tu brak. Aby go trochę zdobyć odwiedził jachtem jedną z wysepek w zatoce Moskitów, cóż z tego, kiedy kamień ten okazał się tak lekki, że mimo załadowania nim wszelkich możliwych miejsc, jacht w dalszym ciągu jest zamało zagłębiony. Obecnie „Zjawa II" stoi na jeziorze Gatun, zaraz za szluzą. Wagner prosi, abyśmy ją przeholowali do Balboa, co mu oszczędzi sporego wydatku. Zapytujemy, jakie ma zamiary. A no, rozumie się, zamierza dokończyć podróż naokoło świata. Chciałby narazie pójść na Galapagos, Markizy i przez Archipelag Południowy do Australji. Tam prawdopodobnie jeszcze trochę jacht przerobi i ruszy dalej. Do Australji będzie mu towarzyszył Polak, którego spotkał w Colon i który już przez pewien czas pomaga mu przy wykończaniu jachtu.

Jakkolwiek „Zjawa" do pewnego stopnia robi nam „konkurencję", postanawiamy okazać Wagnerowi wszelką możliwą pomoc. Co zaś do holowania, to musi przedtem uzyskać zezwolenie od kapitana portu.



Golibroda z rekwizytami przygotowany do golenia delikwentów przepływających po raz pierwszy równik.

Cristobal — Galapagos

Dnia 1 grudnia, wczesnym rankiem, razem z przybyciem pilota podnosimy kotwicę i kierujemy się do Kanału.

Powietrze jest duszne i gorące, mundury lepią się do ciała, tracimy wagę na poczekaniu, ale zanadto nie narzekamy. Bezwietrzna pogoda sprzyja spokojnemu przejściu przez szluzy i łatwiejszemu manewrowaniu na wąskich wodach Kanału. Weszliśmy właśnie w rzeczkę, jaką wydaje się kilkumilowa wstęga wody od redy Cristobal do Gatun. Wrażenie to jeszcze potęguje gęsta roślinność tropikalna, gałęziami zwisająca aż nad samą wodę.

Po upływie godziny statek, lekko drgając, zaczyna podnosić się do góry, razem z poziomem wody, zapełniającej pierwszą komorę szluzy. Do komór następnych ciągną nas liny, podane z elektrycznych wagoników, które przed kilku laty zastąpiły tanią wprawdzie, lecz słabą ludzką siłę pociągową.

Do burt zbliżają się Polacy z oddziału, pełniącego służbę wartowniczą. Zamieniamy z nimi kilka urywanych zdań, obdarzamy ich paczką książek i żegnani życzeniami dobrej drogi, wychodzimy na jezioro. Przy ostrodze, ciągnącej się za szluzą, stoi „Zjawa". Za chwilę mamy ją przycumowaną przy prawej burcie i dalszą podróż odbywamy wspólnie. Aby nie tracić czasu zaczynamy przeładowywać na jacht różne przedmioty, niezbędne do rozpoczęcia przez „Zjawę" podróży już za trzy dni, ponieważ wobec braku odpowiednich środków pieniężnych dalsze pozostawanie w Kanale nie byłoby celowe. Kapitan Maciejewicz wywiera w tym kierunku nacisk, uważając, że po wykończeniu pewnych szczegółów takielunku jacht może wyjść na ocean Spokojny bez żadnego ryzyka, poza normalnem. Kilku naszych uczniów, przeważnie kolegów Wagnera z gimnazjum w Gdyni, pomaga mu przyjąć zapasy. Prowiant, lekarstwa, liny, trochę farby, wreszcie książki.

W szluzie Pedro Miguel obserwujemy z lekkim niepokojem, czy burząca się i wirująca w komorze woda nie spowoduje szkody „Zjawie", którą mogłaby rzucić o kamienną ścianę, lub o burtę „Daru". Jednakże wszystko odbywa się szczęśliwie. Jeszcze kilka godzin, godzin podziwu dla wytrwałości i pomysłowości ludzkiej, której dowody mamy w Kanale na każdym kroku, i cumujemy się przy

nabrzeżu w Balboa. Bierzemy tutaj zapas ropy i słodkiej wody, oraz uzupełniamy prowiant.

Znów mamy pełno gości na pokładzie, tym razem więcej nawet cudzoziemców, którzy interesując się szczegółami statku i podróży, zabierają resztki tak cennego w porcie [illegible].

Na „Zjawie" bosman i kilku uczniów do późnej nocy pracują przy szyciu żagli, wzmacnianiu wiązań takielunku i przeładunku tonny kamiennej kostki, którą uzupełniamy balast jachtu.

Kilka krótkich samochodowych wypadów do Balboa i do Panamy, pobieżne zwiedzenie osobliwości tych dwu miast i już idziemy dalej.

Dn. 4 grudnia mając przy burcie „Zjawę" wychodzimy pod motorem na Pacyfik. Chcemy ją wyholować możliwie dalej, gdyż przy słabiutkim przeciwnym wietrze i niepomyślnych prądach łatwo mogłaby ulec zdryfowaniu na skały, albo którąś z wysp.

Po obiedzie, który załoga „Zjawy" wyfasowała po raz ostatni z naszej kuchni, Wagner oznajmia, że chce puścić hol. Przy pełnej szybkości „Daru" na motorze, jachtem zaczyna dość silnie rzucać i jest obawa o całość bukszprytu.

Po chwili przestrzeń pomiędzy nami zaczyna się powiększać coraz bardziej. Salutujemy banderami, Wagner wciąga żagle i skierowuje „Zjawę" bardziej na południe. Pójdzie prawdopodobnie bliżej brzegów aż do równika, skąd dopiero skręci na zachód. Dobrzeby zrobił, ponieważ w tej części Pacyfiku panują dosyć słabe i zmienne wiatry, przeważające z kierunków przeciwnych kursowi „Zjawy". Prócz tego sięga tu, płynący z południa, zimny prąd Humboldta, który stykając się z cieplejszym prądem zatoki Panamskiej, tworzy szereg wirów. Różnice temperatur psują tamże pogodę. Niebo przeważnie jest zachmurzone, co nie ułatwia bynajmniej określenia pozycji statku. Nie mając motoru, lepiej jest unikać tych dosyć niewdzięcznych wód.

W odległości kilkudziesięciu mil od brzegu stawiamy żagle. Ale wiatr, po krótkiem ożywieniu, znów słabnie i mimo, że niesiemy prawie wszystkie nasze płótna, posuwamy się przeciętnie z szybkością 1 węzła. Nie stać nas w tej podróży na takie dryfowanie. Daleka podróż wymaga pośpiechu. Wykalkulowaliśmy, że średnia szybkość dobowa, wliczając w to czas na postoje w portach, powinna wynieść 105 mil. Inaczej na czas nie wrócimy. To też z 960 mil, dzielących Balboa od Galapagos, większą część przebywamy na motorze.



Zamieniamy salut pożegnalny, poczem „Zjawa II" podnosi żagle. Wgłębi góry Panamy.

Fot. M. Hawryłkiewicz

Pacyfik w tych okolicach niewiele daje wzrokowych wrażeń. Z zachmurzonego nieba dość często spada gęsty deszcz, morze ma barwę brudną, zaczyna się ochładzać.

Dopiero koło równika trochę się przejaśnia, co pozwala obliczyć dość dokładnie pozycję statku. Staramy się tak nawigować, aby podejść do wysp w porze dziennej, pomimo bowiem sporej ilości podwodnych i nadwodnych niebezpieczeństw, na Galapagos niema żadnych ostrzegawczych świateł.

Dnia 10 grudnia odbywa się uroczystość równikowego chrztu, po raz pierwszy w dziejach naszego statku szkolnego, na Pacyfiku. Kilkudziesięciu uczniów, po wielu zabawnych (dla widzów) ceremonjałach, zaopatruje się w nowe, najbardziej fantastyczne, a często niezbyt piękne imiona.

Tegoż dnia w południe rzucamy kotwicę we Wreck Bay (Zatoka Rozbitków), przy wyspie Chatham. Znajdujemy się w obrębie świata, który takim urokiem otoczył Robinson w swej książce „Przez głębie i mielizny". Przy jednej z wysp (Albemarle) stoi właśnie jego nowy jacht, którym rozpoczął drugą podróż naokoło świata. Niestety, jacht obecnie jest bez załogi, gdyż przed kilku miesiącami Robinson zachorował na ślepą kiszkę i został stąd zabrany przez samolot U. S. Navy do szpitala w Cristobal. Jakkolwiek operacja skończyła się szczęśliwie, o Robinsonie jakoś na Galapagos nic nie słychać.

S. Kosko.



Marynarze z żółwiami na „Darze Pomorza" z Galapagos x nasz korespondent S. Kosko

Fot. M. Simon

Ucywilizujmy Jeziorkę

Narzekamy i, poniekąd słusznie, na ubóstwo terenów wodnych zarówno w znaczeniu turystycznem, jak i regatowem w najbliższym promieniu Warszawy. Zachwycamy się bogactwem wód Wileńszczyzny, Suwalszczyzny, a nawet płaskiego, monotonnego Polesia i zazdrościmy tamtym krainom, że ich obfite jeziora i rzeczki nie leżą bliżej Warszawy...

A może nie wszyscy kajakowcy wiedzą, że w bardzo bliskiem sąsiedztwie Warszawy płynie sobie rzeczka, która posiada odcinki mogące, pod względem piękna, konkurować nawet z niektóremi rzeczkami Wileńszczyzny. Jest to oczywiście, Jeziorka, zwana także niekiedy Jeziorną. Rzeczka ta bierze początek w lasach osuchowskich w pobliżu wsi Wygnanki, na granicy powiatów grójeckiego i błońskiego. Płynie ku północo-wschodowi koło Gołkowa, Zalesia, Żabieńca, Piaseczna, Chylic, Skolimowa, Konstancina i Jeziorny, a więc okolicami nader ciekawemi i znanemi, jako pierwszorzędne letniska podwarszawskie.

Jeziorka niegdyś, przed usypaniem wału moczydłowskiego, wpadała do Wisły poniżej wsi Obory, ubiegłszy ogółem 66 km. Obecnie ujście to nie istnieje; pozostał po niem zaledwie ślad, odgrodzony od Wisły wspomnianym wałem. Wody Jeziorki, zbliżywszy się do Wisły na odległość kilkunastu metrów, zostały skierowane w łożysko Wilanówki, będącej zapewne dawną łachą wiślaną, a może sztucznym przekopem — trudno narazie dociec. Wody Jeziorki spływają więc łożyskiem Wilanówki równolegle do Wisły na przestrzeni 11-tu km., poczem poniżej wsi Augustówki na 505 kilometrze wpływają do Wisły. Ujście to jest także znane jako „łacha wilanowska".

Jeziorka jest rzeczką uroczą. Jej wdzięk występuje zwłaszcza w okolicach Skolimowa, kiedy ociera się o Konstanciński las. Zresztą bieg ma urozmaicony; krajobraz często się zmienia i nie nuży turysty. Bardzo łagodny jest górny odcinek Jeziorki, powyżej Gołkowa, w okolicach Złotokłosa, lecz do jazdy kajakiem możliwy zapewne tylko przy wyższych stanach wody. Dystans od Zalesia, względnie Piaseczna, (już obfitszy w wodę), do Warszawy można lekko przebyć w ciągu jednego dnia. Przytem najlepiej przerzucić się na Wisłę lądem, w miejscu dawnego ujścia Jeziorki, gdyż Wisłą do Warszawy można spłynąć daleko szybciej, niż Wilanówką, a widok wielkiej rzeki po zaciszonych krajobrazach Jeziorki, przynosi nowe odmienne wrażenia. Komunikacja z Warszawy nad Jeziorkę jest b. dogodna: kolejką grójecką. Bilet do Zalesia, (45 minut jazdy) kosztuje 90 groszy.

Wycieczka na Jeziorkę jest więc wycieczką jednodniową, niedzielną, a jakże odmienną od wycieczek do Osiedla W. T. W. lub Zawad i spowrotem! Jest przytem wycieczką dość łatwą, nie wymagającą dużego wysiłku, i przyjemną.

Jedyną słabą stroną Jeziorki, jak zresztą wszystkich naszych rzeczek, jest zupełne nieprzystosowanie jej do celów turystycznych. Rzeczka piękna, lecz ludzie mieszkający nad jej brzegami, uczynili zdaje się wszystko, (i to w dzisiejszych czasach tak wybitnie wzmożonej propagandy turystycznej), aby tędy obrzydzić jazdę turystom. Nie mówiąc już o zastawach, spiętrzających wodę, młynach, kamieniach i kołkach, poprzegradzali tu i ówdzie Jeziorkę drutem kolczastym przez całą szerokość. Mało tego! Druty wysmarowali dokładnie jakąś obrzydliwą czarną mazią, która przywarłszy do rąk, trzyma się potem skóry przez szereg dni.

Takie druty kolczaste — to istne sidła na kajakowców! Jesteśmy właśnie pod wrażeniem przykrego wypadku, jaki miał miejsce na Jeziorce, w pobliżu kościoła w Jazgarzewie w dniu 3 maja. Z góry Jeziorki, z pod Złotokłosu spływała para znanych w Warszawie kajakowców. Wezbrane po majowej śnieżycy wody Jeziorki niosły bystro, niby górski potok. To też, kiedy na zakręcie w odległości 20-tu metrów ukazała się siatka z drutu kolczastego, przeciągnięta przez całą szerokość koryta, pomimo wszelkich wysiłków nie udało się powstrzymać rozpędzonego składaka. Wpadł on z całym impetem na druty, oczywiście, natychmiast się wywrócił, wysypując parę kajakowców: pan wpadł do zimnej wody, pani zawisła na drutach, kalecząc się dotkliwie. Niewiele brakowało, aby katastrofa skończyła się zgoła tragicznie. A przecież nie byli to nowicjusze, lecz prawdziwe „wygi" — kajakowe; doświadczeni w niezliczonych wycieczkach, wzdłuż wielu małych rzeczek, jak rzadko kto z pośród kajakowców.

Takie przygody nie są bynajmniej pożądane. Takim przygodom należy zapobiegać. Ale jak? I tu nasuwa się apel, jakim został zatytułowany ten artykulik. Ucywilizujmy Jeziorkę! Uczyńmy jej szlak turystycznie wzorowym, przystosujmy go do potrzeb wzmagającego się z każdym rokiem ruchu kajakowego. Niech podwarszawska Jeziorka stanie się pierwszą w Polsce, kulturalną pod względem turystycznym rzeczką. Usuńmy precz zdradzieckie druty kolczaste z jej łożyska!

Władze państwowe, komunalne i powiatowe mają teraz tyle zrozumienia i życzliwości dla potrzeb turystycznych, że „kajakowa" cywilizacja Jeziorki nie powinna nastręczać zbyt dużych przeszkód. Przecież leży to i w interesie nadbrzeżnej ludności i kolejki dojazdowej. Turyści mogą się bowiem przyczynić do znacznego ożywienia ruchu na tej kolejce, zwłaszcza w dni świąteczne, na trasie: Warszawa—Piaseczno—Zalesie—Gołków. Ludność z nad Jeziorki może na kajakowcach tylko zarobić, sprzedając im mleko i inne artykuły wiejskie. Jesteśmy, jak się zdaje, już wszyscy świadomi tego, że turystyka we wszelkich odmianach, przyczynia się do ożywienia życia gospodarczego.

Dokończenie na str. 200.



Kajakiem na Czarnej Hańczy

Fot. J. Górski

BYDGOSZCZ

POLSKI ZWIĄZEK TOWARZYSTW WIOŚLARSKICH

PROGRAM-WSTĘPNY

XVI REGAT ZWIĄZKOWYCH O MISTRZOSTWA POLSKI

Dzień pierwszy: Sobota 3 sierpnia 1935 r.

BIEG 1 Godz. 15.00 *Czwórki półwyścigowe pań.* Bieg o nagrodę wędrowną Dra Eugenjusza Czaykowskiego, członka B. T. W. Nagroda przechodzi na własność T-wa po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1928 r. Akademicki Związek Sportowy Warszawa,
„ „ 1929 i 1930 Poznański Klub Wioślarek.
W roku 1931 bieg rozegrany nie był.
Zwyc. w 1932 i 1933 r. Warszawski Klub Wioślarek.
„ „ 1934 r. Wojskowy Klub Sportowy Grodno.

BIEG 2. Godz. 15.15 *Czwórki półwyścigowe.* Bieg dostępny dla Klubów i Sekcyj Wojskowych o nagrodę przechodnią Płk. Dypl. Władysława Kilińskiego, Dyrektora P. U. W. F. i P. W. Nagroda przechodzi na własność T-wa po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1931 r. Oficerski Yacht Klub R. P. Warszawa,
„ „ 1932 r. Sekcja Wojskowa B. T. W. Bydgoszcz,
„ „ 1933 r. W. K. S. „Śmigły" Wilno.
„ „ 1934 r. Sekcja Wojskowa B. T. W. Bydgoszcz.

BIEG 3. Godz. 15.30 *Czwórki II-ej klasy.* Bieg o nagrodę T. Korolewicza, członka W. T. W. Nagroda przechodzi na własność T-wa po trzykrotnem wygraniu. Bieg dostępny dla wioślarzy wszystkich kategoryj niestartujących w biegach o Mistrzostwa Polski na wiosła długie.
Zwyc. w 1933 r. Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie.
„ „ 1934 r. Wojskowy Klub Sportowy Grodno.

BIEG 4. Godz. 15.45. *Czwórki wagi lekkiej.* Waga osady bez sternika nie powinna przekraczać 250 kg. Bieg o nagrodę przechodnią prezesa K. W. „04", Poznań, Władysława Stopy Nagroda przechodzi na własność po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1932 r. Poznańskie Tow. Wiośl. „Tryton" Poznań.
„ „ 1933 r. Klub Wioślarski „Wisła" Warszawa,
„ „ 1934 r. Kaliskie Tow. Wioślarskie, Kalisz.

BIEG 5. Godz. 16.00. *Dwójki podwójne młodszych.* Bieg o nagrodę przechodnią b. prezesa Pozn. Tow. Wiośl. „Tryton", Poznań, M Stürmera. Nagroda przechodzi na własność po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1929 r. Pozn. Tow. Wiośl. „Tryton", Poznań.
„ „ 1930 r. Klub Wioślarski „Wisła", Warszawa.
„ „ 1931 r. Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie.
W roku 1932 Bieg nie odbył się.
Zwyc. w 1933 r. Akademicki Związek Sportowy, Warszawa.
„ „ 1934 r. Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie.

BIEG 6. Godz. 16.15. *Czwórki.* Bieg dostępny wyłącznie dla Klubów i Sekcyj Wojskowych o nagrodę przechodnią D. O. K. VII. Poznań. Nagroda przechodzi na własność T-wa po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1931 r. Wojskowy Klub Wioślarski, Poznań.
„ „ 1932 r. Sekcja Wojskowa B. T. W., Bydgoszcz.
„ „ 1933 r. Wojskowy K. S. „Śmigły", Wilno.
„ „ 1934 r. Wojskowy Klub Sportowy, Grodno.

BIEG 7. Godz. 16.30. *Czwórki półwyścigowe.* Bieg dostępny dla towarzystw, które w r. 1934 znalazły się poniżej 30-go miejsca w związkowej tabeli punktacyjnej (z uwzględnieniem punktów za start), oraz dla towarzystw w tabeli niewymienionych.

BIEG 8. Godz. 16.45. *Jedynki II-ej klasy.* Bieg o nagrodę przechodnią fabryki Płyt Fotograficznych „Alfa" w Bydgoszczy. Nagroda przechodzi na własność T-wa po trzykrotnem wygraniu. Bieg dostępny dla wioślarzy wszystkich kategoryj niestartujących w biegach o Mistrzostwa Polski na wiosła krótkie.
Zwyc. w 1934 r. Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie.

BIEG 9. Godz. 17.00. *Ósemki II-ej klasy.* Bieg o nagrodę przechodnią M. Soroko, Dyrektora Państwowych Wytwórni Uzbrojenia. Nagroda przechodzi na własność T-wa po trzykrotnem wygraniu. Bieg dostępny dla wioślarzy wszystkich kategoryj, niestartujących w biegach o Mistrzostwo Polski na wiosła długie.
Zwyc. w 1933 r. Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie.
„ „ 1934 r. Klub Wioślarski „Wisła", Warszawa.

Dzień drugi: Niedziela 4 Sierpnia 1935 r

MISTRZOSTWA POLSKI.

BIEG 10. Godz. 15.00 *Czwórki pań. Mistrzostwo Polski.* Nagroda przechodnia imienia założycielek Warszawskiego Klubu Wioślarek.
Zwyc. w 1932 r. Bydgoski Klub Wioślarek, Bydgoszcz.
„ „ 1933 i 1934 r. Warszawski Klub Wioślarek.

BIEG 11. Godz. 15.15. *Jedynki pań. Mistrzostwo Polski.* Bieg o nagrodę przechodnią Dr. A. Jurjewicz, wiceprezeski W. K. W. Warszawa. Nagroda przechodzi na własność T-wa po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1931 i 1932 r. Janina Grabicka Warsz. K. Wiośl.
„ 1933 i 1934 r. Kamila Plewkowa. WKS. Śmigły, Wilno.

BIEG 12. Godz. 15.30. *Czwórki Mistrzostwo Polski.* Bieg o nagrodę przechodnią firmy Haberbusch i Schiele w Warszawie. Nagroda przechodzi na własność T-wa po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1931 i 1932 r. Klub Wioślarski z r. 1904, Poznań.
„ „ 1933 r. Warszawskie Tow. Wioślarskie.
„ „ 1934 r. Bydgoskie Towarzystwo Wioślarskie.

BIEG 13. Godz. 15.45. *Dwójki bez sternika.* Mistrzostwo Polski. Bieg o nagrodę przechodnią Ilustrowanego Kurjera Codziennego. Nagroda przechodzi na własność T-wa po trzykrotnem wygraniu kolejnem, albo pięciokrotnem wygraniu bez względu na kolejność.
Zwyc. w 1933 r. Towarzystwo Wioślarskie, Włocławek.
„ „ 1934 r. Klub Wioślarski z r. 1904, Poznań.

BIEG 14. Godz. 16.00. *Ósemki młodszych.* Bieg o nagrodę przechodnią „Dziennika Bydgoskiego". Nagroda przechodzi na własność po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1931 r. Klub Wioślarski z r. 1904, Poznań.
„ „ 1932 r. Klub Wioślarski „Wisła", Warszawa.
„ „ 1933 r. Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie.
„ „ 1934 r. Akademicki Związek Sportowy, Poznań.

BIEG 15. Godz. 16.15. *Jedynki. Mistrzostwo Polski.* Bieg o nagrodę przechodnią Magistratu m. Bydgoszczy. Nagroda przechodzi na własność po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1933 i 1934 r. Verey — Włodek — Roger Ak. Zw. Sport. Kraków.

BIEG 16. Godz. 16.30. *Czwórki nowicjuszy.* Bieg o nagrodę przechodnią ś. p. M. Wierzbickiego z Bydgoszczy. Nagroda przechodzi na własność T-wa po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1925 i 1929 r. Bydgoskie T. W., Bydgoszcz.
„ „ 1926 r. Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie.
„ „ 1927 r. R. A. C., Budapeszt.
„ „ 1928 i 1930 r. Akademicki Z. S. Warszawa.
„ „ 1931 r. Grudziądzkie T. W. „Wisła", Grudziądz.
„ „ 1932 r. Kaliskie Towarzystwo Wiośl., Kalisz.
„ „ 1933 r. Towarzystwo Wioślarskie, Włocławek.
„ „ 1934 r. Kolejowy Klub Wioślarski, Bydgoszcz.

BIEG 17. Godz. 16.45. *Jedynki nowicjuszy.* Bieg o nagrodę przechodnią Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego. Nagroda przechodzi na własność T-wa po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1934 r. Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie.

BIEG 18. Godz. 17.00. *Czwórki bez sternika. Mistrzostwo Polski* Bieg o nagrodę przechodnią Koła Senjorów Warszawskiego Tow. Wioślarskiego. Nagroda przechodzi na własność po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1933 r. Klub Wioślarski z r. 1904, Poznań.
„ „ 1934 r. Bydgoskie Tow. Wiośl., Bydgoszcz.

BIEG 19. Godz. 17.15. *Dwójki. Mistrzostwo Polski.* Bieg o nagrodę przechodnią Prezesa W. T. W. Warszawa inż. L. Skulskiego i wiceprezesa W. T. W. dra J. Ślaskiego. Nagroda przechodzi na własność T-wa po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1933 r. Warszawskie Tow. Wiośl., Warszawa.
„ „ 1934 r. Klub Wioślarski z r. 1904, Poznań.

BIEG 20. Godz. 17.30. *Czwórki młodszych.* Bieg o nagrodę przechodnią Józefa Radwana, członka honorowego P. Z. T. W. Nagroda przechodzi na własność T-wa po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1923 r. Warszawskie Tow. Wiośl., Warszawa.
„ „ 1924 i 1926 r. Bydgoskie Tow. Wiośl., Bydgoszcz.
„ „ 1925 i 1931 r. Klub Wioślarski „Wisła", Warszawa.
„ „ 1927 r. Klub Wioślarski z r. 1904, Poznań.
„ „ 1928 i 1930 r. Akad. Zw. Sport., Warszawa.
„ „ 1929 r. Pozn. Tow. Wiośl. „Tryton", Poznań.
„ „ 1932 r. Kaliskie Tow. Wioślarskie, Kalisz.
„ „ 1933 r. Warszawskie Tow. Wiośl., Warszawa.
„ „ 1934 r. Towarzystwo Wioślarskie, Włocławek.

BIEG 21. Godz. 17.45. *Ósemki nowicjuszy.* Bieg o nagrodę przechodnią Płk. Dypl. Wł. Kilińskiego, Dyrektora P. U. W. F. i P. W. Nagroda przechodzi na własność T-wa po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1932 r. Klub Wioślarski „Wisła", Warszawa.
„ „ 1933 r. Klub Wioślarski z r. 1904, Poznań.
„ „ 1934 r. Kaliskie Tow. Wioślarskie, Kalisz.

BIEG 22. Godz. 18.00. *Dwójki podwójne. Mistrzostwo Polski.* Bieg o nagrodę przechodnią M. Garsteckiego, prezesa Międzyklubowego Komitetu Wioślarskiego w Poznaniu. Nagroda przechodzi na własność T-wa po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1929 r. Klub Wioślarski, Toruń.
„ „ 1930 r. Pozn. Tow. Wiośl. „Tryton", Poznań.
„ „ 1931 r. Klub Wioślarski z r. 1904, Poznań.
„ „ 1932 r. Akad. Zw. Sport., Kraków.
„ „ 1933 r. Klub Wioślarski „Wisła", Warszawa.
„ „ Warszawskie Tow. Wiośl., Warszawa.

BIEG 23. Godz. 18.15. *Jedynki młodszych.* Bieg o nagrodę wędrowną Państwowego Urzędu W. F. i P. W. Nagroda przechodzi na własność po trzykrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1934 r. Warszawskie Tow. Wiośl., Warszawa.

BIEG 24. Godz. 18.30. *Ósemki. Mistrzostwo Polski.* Bieg o nagrodę przechodnią Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej prof. Ignacego Mościckiego. Nagroda przechodzi na własność po pięciokrotnem wygraniu.
Zwyc. w 1931 i 1932 r. Klub Wiośl. z r. 1904, Poznań.
„ „ 1933 i 1934 r. Bydgoskie Tow. Wiośl., Bydgoszcz.

---

1. Regaty odbywają się zgodnie z Regulaminem Regatowym P. Z. T. W. z 1935 r.
2. Długość toru 1700 m. W biegach pań 1200 m.
3. Zgłoszenia piśmienne, na blankietach regatowych P. Z. T. W., w zapieczętowanej kopercie zaopatrzonej w wyraźny napis „Zgłoszenie do Regat", nadesłane być winny do **środy dn. 24 lipca włącznie** pod adresem P. Z. T. W. ul. Al. Jerozolimskie 45. Zgłoszenia muszą zawierać: nazwiska, *imiona w pełnem brzmieniu*, wiek, wzrost i wagę wioślarzy, imię, nazwisko i wagę sternika oraz nazwisko delegata, mającego wyłączne prawo interpelacyj w sprawach sportowych i nazwisko trenera.
4. Wpisowe w wysokości 6 zł. od zawodnika w biegach o Mistrzostwo Polski i 4 zł. od zawodnika w pozostałych biegach, należy wnieść przed terminem złożenia zgłoszeń do P. K. O. na konto P. Z. T. W. Nr. 4249 i kwit należy dołączyć do zgłoszeń. Zgłoszenia nie zawierające wszystkich danych, wymienionych w punkcie 3, albo też bez dowodu wpłacenia wpisowego — rozpatrywane nie będą.
5. Nagrody w medalach, przy zadeklarowaniu 1 — 4 łodzi — jedna nagroda, przy 5 i więcej łodzi — dwie nagrody.

Nagrody I-go stopnia za biegi mistrzowskie. { I nagr. medale srebrne duże, II „ „ bronzowe duże

Nagrody II-go stopnia za biegi zwykłe na łodziach [illegible] { I nagr. medale [illegible] II „ „ [illegible]

Nagrody III-go stopnia za biegi na łodziach półwyścigowych. { I nagr. medale [illegible] małe, II „ „ bronzowe małe.

6. Wszelkich informacyj w sprawie regat udziela Sekretarjat Polskiego Związku Towarzystw Wioślarskich, Warszawa, Al. Jerozolimskie 45 m. 26.
7. Losowania torów i osad dokona Komisja Sportowa P. Z. T. W. Wyniki losowania i protokuł zebrania Komisji Sportowej rozesłane będą do zainteresowanych Towarzystw w możliwie krótkim czasie.
8. Mierzenie szerokości oraz ważenie czwórek półwyścigowych, mierzenie długości łodzi wyścigowych, ważenie wioślarzy, zgłoszonych do biegu czwórek lekkiej wagi, oraz ważenie wszystkich sterników dokonane będzie przez p.p. Starterów w hangarach w Łęgnowie w sobotę d. 3-go sierpnia o godz. 9-ej rano.
9. Przedbiegi do biegów 1 — 9 przy zadeklarowaniu więcej niż 6 osad do jednego biegu odbywać się będą w sobotę d. 3-go sierpnia o godz. 10-ej. Przedbiegi do biegów 10—24 — w sobotę d. 3-go sierpnia o godz. 17 min. 15.
10. Zebranie delegatów celem otrzymania instrukcji, numerów dla zawodników i biletów wejścia na trybuny po jednym dla zawodników, zgłoszonych zapasowych, delegata i trenera odbędzie się w sobotę dnia 3-go sierpnia o godz. 9-tej rano w kancelarji regatowej w Łęgnowie.
11. Wszelkie ogłoszenia i instrukcje wywieszone przed kancelarją regatową najpóźniej na godzinę przed przedbiegiem lub biegiem są obowiązujące.
12. Kancelarja regatowa w hangarach Łęgnowo czynna będzie od godz. 9-ej rano w sobotę dnia 3-go sierpnia.

Przed Jeziorką, płynącą tak blisko Warszawy, otwiera się więc piękna przyszłość turystyczna. Trzeba tylko jazdę po niej ułatwić kajakowcom, trzeba im Jeziorkę uprzystępnić na codzień. Kto ma się tem zająć? Inicjatywa powinna wyjść właśnie z Polskiego Związku Kajakowego. Może Związek zwróci się z memorjałem do kompetentnych władz. Jeziorka leży w obrębie starostwa grójeckiego, ale lepiej, żeby odpowiednie zarządzenia wyszły z wyższej instancji.

Chodzi przecież o rzeczy niewielkie: o uwolnienie Jeziorki ze zdradzieckich drutów kolczastych, o wydanie zakazu odrutowywania jej w przyszłości. A dalej: o urządzenie małych pomostów w kilku miejscach, gdzie kajaki trzeba przenosić, a więc przy wyciąganiu z wody i spuszczaniu na wodę. Obecnie bowiem wynosząc, trzeba brodzić w wodzie, co niezawsze sprawia przyjemność, lub w błocie, co nigdy przyjemne nie jest, a nawet i bezpieczne, jeżeli się zważy, że można natrafić na szkła ze stłuczonych butelek, lub na inne przedmioty, mogące skaleczyć nogę.

Takie pomosty, choćby z jednej szerszej deski ułatwiłyby ogromnie wyjmowanie kajaka z wody i zapobiegły przykrym wypadkom. Należałoby też pomyśleć o dalszych ulepszeniach, a mianowicie o jakimś walcu, po którym możnaby kajaki przetaczać, zamiast je dźwigać, co oczywiście też do przyjemności nie należy.

Znany miłośnik sportu kajakowego p. Zygmunt Jędrzejowski opracował projekt urządzenia takiego walca. Projekt podobno odznacza się dużą prostotą, a zastosowanie go ma być łatwe i tanie. Może się nim zainteresują odnośne czynniki kajakowe?

Nie licząc zastawy w Zalesiu, (gdyż jazdę można rozpoczynać poniżej tej zastawy) mamy na Jeziorce do Obór trzy przeszkody, wymagające przenoszenia, a mianowicie: młyn pod Chyliczkami, szosa pod Konstancinem i zastawa przy Jeziornie Bankowej, odprowadzająca część wody do mirkowskiej fabryki papieru. Ogółem więc potrzeba byłoby sześć pomostków. Ponadto należałoby usunąć z łożyska resztki zastawy po dawnym młynie skolimowskim. Resztka ta zagradza obecnie całą szerokość rzeczki, zmuszając i w tem miejscu do przenoszenia kajaka.

I jeszcze jedno, dość ważne: oto ze względu na turystyczne walory Jeziorki, należałoby skłonić właścicieli stawidła w Zalesiu, młyna w Chyliczkach i zastawy w Jeziornie, by w dnie świąteczne nie podnosili stawideł wyżej, niż zwykle i nie zatrzymywali wody. Bywa bowiem tak, że przed stawidłami wody za wiele, a poniżej stawideł nie sposób przepłynąć.

Jeziorkę plugawi poprostu niemożliwie odpływ z mirkowskiej fabryki papieru, ale na to narazie nie będzie rady. Na szczęście te nieczystości fabryczne, które wyciskają swe piętno na brzegach w sposób aż nadto widoczny, wpływają do Jeziorki niezbyt daleko od miejsca, z którego można się przerzucać na Wisłę. Właśnie, ze względu na ów odpływ, dalsza jazda Wilanówką nie jest wskazana.

Poruszyłem sprawę Jeziorki, jako jeden z kajakowców warszawskich, choć sądzę, że nie będzie ona obojętna i dla kajakowców z innych, nawet odległych miast. Ucywilizowana Jeziorka może być dla wszystkich dużym magnesem i atrakcją.

Przystosujmy narazie choć jedną rzeczkę do turystycznych potrzeb polskiego kajakarstwa. Niech to będzie na początek podwarszawska Jeziorka. A po niej może przyjdzie kolej na malowniczą Wkrę.

J. Łukiewicz.

Którędy droga?

Przez masy do rekordów — czy naodwrót?

Wiele lat temu, już w zaraniu powojennych dziejów sportu polskiego, padło hasło „Przez masy do rekordów". Hasło to było obłudne, gdyż rzucone zostało przez tych, którzy sport zawodniczy i „rekordomanję" uważali za zło — może zło konieczne i nieuniknione — ale w każdym razie zło. Zdawali sobie oni jednak sprawę z tego, że nastawienie w kierunku walki i rywalizacji jest w sferach sportowych zbyt silne, aby dało się je wyplenić. Ci ludzie, którzy „rekordy" uważali w najlepszym razie za zbędny dodatek, a powszechne wychowanie fizyczne za cel, wpadli na genjalny pomysł, by zwolennikom sportu zawodniczego wmówić, iż tylko drogą pracy „wszerz" dojdzie się do wyników „wzwyż", to jest do tego, co potocznie nazywamy „rekordami".

I ta obłudna rada „chwyciła" w całej pełni. Wszyscy uwierzyli, że, gdy sport będzie powszechny, mieć będziemy Nurmich na każdym kroku, gdyż łatwiej jest trafić na asa między setkami tysięcy uprawiających sport, aniżeli między tysiącami. Istotnie, rozumowanie to miało w sobie tyle pozorów słuszności, iż musiało się przyjąć. Obłudnem nazywam to hasło dlatego, że ci, którzy je wymyślili, mieli na celu jedynie popularyzację wychowania fizycznego w niesportowem ujęciu, „rekordomanję" zwalczali, a zwolennikom fanatycznym sportu zawodniczego na przynętę wmówili, że pracując wszerz, dojdą automatycznie do wyników. Ci, którym na popularyzacji mniej zależało, pracowali jednak nad nią, wierząc, że tą drogą idą ku swojemu celowi, to jest w kierunku podniesienia wyników sportowych, w kierunku „rekordów".

I dziś, gdy hasło to, które po raz pierwszy rzucone było na szersze wody bodajże na pierwszym Kongresie Sportowym w roku 1923, ma już za sobą dziesięcioletni jubileusz, i odbywa trzecią piatiletkę, trzeba pomyśleć, czy spełniło ono swoje zadanie. Czy hasło to, które teoretycznie wydawało się tak słusznem, iż każdy w nie chętnie uwierzył, zdało w praktyce swój egzamin? Nad tem warto się zastanowić.

Patrzmy więc oczyma otwartemi na to, co się działo, a nie sugestjonujmy się tem, co według naszych teoretycznych rozważań dziać się powinno. Bierzmy przykłady. Mieliśmy w Polsce w latach 1926—7 na dobrą sprawę jedną drużynę hokeja lodowego, która niewiadomo jakim cudem stanęła odrazu w rzędzie pierwszych zespołów Europy (nie potrzeba było do tego „mas"). Przyszła „praca wszerz", przyszła popularyzacja — i oto mamy obecnie drużyn przeciętnych kilkadziesiąt, ale dobrej ani jednej i czasy, gdy odgrywaliśmy rolę w Europie, wspominamy jako przeszłość.

Mieliśmy na początku kobiecej lekkiej atletyki — w latach 1924—5 w całej Polsce z dziesięć zawodniczek, a w tem jedną rekordzistkę świata. Bez większej przesady powiemy, że jednak kobieta dyskiem rzucała, i ta była rekordzistką. Obecnie lekka atletyka pań spopularyzowała się bardzo znacznie, ale, jeżeli chodzi o wyniki czołowe, to wprawdzie nie upadły one tak, jak w hokeju, ale w każdym razie od owego okresu bohaterskiego z przed lat dziesięciu bynajmniej nie podniosły się proporcjonalnie do rozwoju wszerz, a raczej spadły.

Mieliśmy przed siedmiu-ośmiu laty kilku narciarzy

pierwszej klasy środkowo-europejskiej. Od tego czasu liczba uprawiających ten sport wzrosła conajmniej kilkakrotnie, a tymczasem rola, jaką odgrywamy w Mistrzostwach Europy maleje z roku na rok.

Gdy przed 5—6 laty nie mieliśmy ani jednego pływaka średniej klasy europejskiej, pojawił się Bocheński, który niespodziewanie wyrósł na asa międzynarodowego. Od tego czasu liczba pływaków, a w tem liczba zawodników przeciętnych i dobrych pomnożyła się parokrotnie, a tymczasem mistrzów tej miary co Bocheński z roku 1929—30 nie tylko nam nie przybyło, lecz przeciwnie, przeciętny poziom naszej elity stoi dziś stosunkowo dalej od zagranicy, niż stał wtedy.

Takich przykładów możnaby mnożyć bez końca. Wybieram tylko najbardziej jaskrawe. Baczna bowiem obserwacja naszego życia sportowego w ostatnich kilkunastu latach musi doprowadzić nas do dwuch wniosków:

1) wyrośnięcie jednostek ponad zwykły poziom, wciągnięcie się ich na wyżyny sportowe, osiągnięcie poziomu asów międzynarodowych absolutnie nie jest uwarunkowane popularyzacją sportu w kraju.

2) sama popularyzacja sportu (a tem mniej popularyzacja nie-zawodniczo ujętego wychowania fizycznego), nie wystarcza do podniesienia poziomu sportowego elity, aczkolwiek niewątpliwie może się do tego do pewnego stopnia przyczynić. Jest bowiem rzeczą zrozumiałą, iż szanse trafienia na wielki talent są tem większe, im większy mamy wybór, im więcej mamy materjału ludzkiego.

Masy „sportujących", to jednak dopiero tylko materjał, to dopiero *szanse*, że trafi się talent. Ale sport nie jest ruletką, i nie wystarczy mieć szanse, aby szczęśliwy los dał wygraną. Mając szanse, trzeba je kultywować. Mając możność wyławiania talentów, trzeba te talenty kształcić.

I w tem leży szkodliwość hasła „przez masy do rekordów". Szkodliwem jest ono dlatego, że ci, których zadaniem jest troszczenie się o podniesienie poziomu sportowego, uważają, iż spełnili swój obowiązek wtedy, gdy przyczynili się do powiększenia *ilościowego* kadr sportowców, nie zdając sobie sprawy, że trzeba *niezależnie od tego* popracować oddzielnie nad podniesieniem *jakościowem* elity.

Jeżeli traktujemy popularyzację sportu (czy wychowania fizycznego), jako cel sam w sobie — pięknie. Ważniejszem jest niewątpliwie zdrowie powszechne, aniżeli pojedyńczy, choćby najwspanialszy rekordzista. Niema co do tego dwuch zdań. I dlatego propagujemy jaknajgoręcej popularyzację sportu. Ale nie wmawiajmy w siebie, że tą drogą idziemy do podniesienia jakościowego, nie wyobrażajmy sobie, że jest to droga dostateczna do poprawy wyników elity.

O ile hasło „pracy wszerz" i popularyzacji, jako celu samego w sobie — jest piękne, o tyle hasło „przez pracę wszerz do rekordów" — jest nietylko obłudne, ale i szkodliwe — bo pozwala nam zapomnieć o wysiłku nad kształceniem elity.

Pamiętajmy, że ten, kto to hasło wymyślił, nie miał rekordów na celu. Natomiast my, mając na celu podniesienie ogólnego poziomu zdrowia i sprawności fizycznej Narodu rzucimy [illegible] hasło!

„Przez rekordy do mas!"

Nikt nam bowiem nie ośmieli się zaprzeczyć, że niema lepszego środka propagandowego dla sportu i niesportowo traktowanego wychowania fizycznego, jak *wyniki* elity. Powołamy się na przykłady, cytowane przed chwilą. Wspaniała siódemka hokejowa AZS'u, dzięki swoim błyskotliwym sukcesom zagranicą ożywiła w całej Polsce zapał do tego pięknego sportu, który choć *bardzo* kosztow-



Masowe nauczanie pływania w szkołach japońskich

ny, choć gnębiony przez ciężkie przeszkody fatalnego klimatu, rozwijać się zaczął żywiołowo.

Któż nie zgodzi się z nami, że równie wspaniale, jak niespodziewane sukcesy Haliny Konopackiej otworzyły społeczeństwu oczy na to, że lekka atletyka kobieca wogóle istnieje i stały się głównym atutem propagandowym tego sportu?

Czyż nie widzimy na każdym kroku i wszędzie — w Polsce i poza Polską — że t. zw. „wyniki", że sukcesy i laury najłatwiej w masach wzniecają zapał do sportu i chęć naśladownictwa?

Nie plakaty, nie artykuły propagandowe, nie odczyty i przemówienia, nawet nie odznaki, mogą skutecznie sport i wychowanie fizyczne propagować. Do tego celu trzeba *wyników*. Dobre wyniki dają przedewszystkiem publiczność na zawodach, dają zatem pieniądze. Pieniądz pozwala nam na skuteczną akcję popularyzacyjną. Pieniądz, który jest kluczem do wszystkich niemal bram na tym świecie, odgrywa niemałą rolę oczywiście i w rozwoju sportu. A pieniądz uzyskujemy z wyników, wyniki zaś osiągamy przy pomocy pieniądza. Innemi słowy pewien wkład kapitału włożony w sport daje nam podniesienie wyników i łącznie z tem zainteresowania szerokich mas. A to zainteresowanie zwróci nam wkłady pieniędzy wielokrotnie.

Kto nie wierzy publicystom — ten niech uwierzy kupcom. Dlaczegóż fabrykanci rowerów i opon we Francji czy we Włoszech wkładają kolosalne sumy w imprezy tego typu, co „Tour de France"? Czy dlatego, że zależy im na podniesieniu poziomu sportowego różnych Peilssierów, czy raczej po to, by powiększyć kadry nabywców rowerów? Odpowiedź jest jasna. Ci fabrykanci francuscy lepiej zdaje się sprawę zrozumieli, niż nasi kierownicy życia sportowego. Zrozumieli, że taki „Tour de France", który zje może zdrowie paru zawodowców, powiększy wielokrotnie liczbę jeżdżących na rowerze i zdzierających opony.

Dajcie nam jednego Weissmüllera, czy Arne Borga — a w ciągu roku liczba pływaków—czynnych zawodników wzrośnie parokrotnie. Pojawienie się jednego takiego tuza zrobi odrazu więcej, niż kilka kursów instruktorskich. Bo kurs daje nam tylko instruktora, a instruktor sam nie przedstawia dla nas żadnej wartości, jeżeli uczniowie się do niego nie garną, i niema ich skąd ściągnąć. Gdy będą wyniki, gdy będzie zainteresowanie — bez żadnej propagandy wszyscy będą garnęli się sami do klubów czy pływania.

Niewątpliwie samo podniesienie poziomu elity nie wystarczy. Cudów ono nie zrobi. Jego dziełem będzie tylko jedno: wywołanie powszechnego zainteresowania. Dalszem zaś naszem zadaniem będzie skierowanie tego zainteresowania na właściwe tory. Pływalnie i instruktorzy bez zainteresowania sportem pływackim — niczego nam nie dadzą. Gdy zaś będzie zainteresowanie — publiczność sama zmusi nas do budowania pływalni i instalowania na nich instruktorów, a przedewszystkiem da nam na to środki pieniężne.

* * *

Obecny Zarząd Polskiego Związku Pływackiego stoi na stanowisku odmiennem. Wysunął na czoło swego programu zbankrutowane hasło „przez masy do rekordów". Uczynił tak dlatego, że może nie miał okazji zauważyć tego bankructwa w praktyce, a dał się uwieść jego pozornej mocy przekonywującej. I temu przypisać należy, mam wrażenie, całkowite zredukowanie programu międzynarodowego.

Obawiam się, że to może mieć następstwa fatalne. Nie wierzę bowiem w popularyzację sportu bez błyskotliwych wyników elity. Nie wierzę w możliwość podniesienia się poziomu tej elity bez walki, i to stałej walki z silniejszymi przeciwnikami zagranicznymi. Trening w obliczu abstrakcyjnego dążenia do poprawy jest niczem. Jedyną skuteczną podnietą do pracy jest tylko konkretna perspektywa walki z przeciwnikiem nieznacznie silniejszym, z przeciwnikiem określonym i w dacie określonej, perspektywa walki, na którą patrzy ogół, walki reprezentacyjnej. Bez tej podniety żadne treningi rezultatu nie dadzą.

I dlatego nie spodziewam się wielkich sukcesów w pracy PZP., jeżeli tego zbankrutowanego hasła się nie odwróci. Aby mieć masy, o które nam przedewszystkiem chodzi — musimy najprzód dbać o rekordy. Aby mieć rekordy, musimy dawać zawodnikom oprócz warunków zaprawy, stały kontakt z zagranicą, stałą walkę z silniejszym przeciwnikiem.

Sądzę, że fatalny upadek sportu polskiego literalnie na wszystkich odcinkach, jaki obserwujemy od paru lat, a który doszedł do zenitu w feralnym roku 1934, powinien nam otworzyć oczy na to, że całkowicie zbankrutowała dotychczasowa polityka unikania spotkań z zagranicą. Ograniczania ich do wypadków pewnego zwycięstwa, jak i polityka forsowania wyłącznie tylko pracy wszerz. Gdy widzimy, że jest źle — trzeba szukać przyczyn tego stanu, a nie upierać się przy dalszych błędach.

A kto nie wierzy tym wywodom, niech rozejrzy się po świecie. Niech zobaczy, jak pracują Amerykanie, Niemcy, Włosi, Anglicy, i niech spojrzy na ich rezultaty.

Jeżeli nie zmienimy tej polityki, jeżeli nie odwrócimy tego bałamutnego hasła — będziemy nadal konsekwentnie cofali się wstecz, tak, jak cofamy się już na całej linji od lat paru.

Tadeusz Semadeni.

ŁODZIE

OLIMPIJKI p g ORYGINALNYCH PLANÓW NIEMIECKIEGO ZWIĄZKU ŻEGLARSKIEGO CENY PRZYSTĘPNE

ŻEGLARSKIE
Jachty i jole konstrukcji A. ALEKSANDROWICZA i p g wzorów żądanych

WIOŚLARSKIE
wyścigowe, półwyścigowe, turystyczne i kajaki

ŚLIZGOWCE, MOTORÓWKI
Sprzęt wioślarski i żeglarski

STOCZNIA JACHTÓW I ŁODZI
WŁADYSŁAW URBANIAK
POZNAŃ, DROGA DĘBIŃSKA 10, TELEFON Nr. 33-54

Fremersdorf o Fairbairn'ie

Odkąd Fairbairn wydał swoją pierwszą książkę o wiosłowaniu (Rowing Notes) odtąd zaczęła się długa i nużąca dyskusja na temat wyższości jednego ze stylów wioślarskich. Dyskusja ta jest typową dla świata anglosaskiego i oprócz niego interesuje wyłącznie Niemców, którzy zostali niejako wstrząśnieni w swej talmudycznej wprost wierze w stary styl angielski — ortodoks. W innych krajach jak np. w Ameryce czy Włoszech problem stylu nie istnieje a raczej rozwiązano go już dużo dawniej i to raczej w myśl wskazań Fairbairna, niż teoryj ortodoksu.

Kilka ciekawych uwag dorzucili do całego zagadnienia teoretycy szwajcarscy. O artykule dr. Hansa Wallera pisaliśmy kilka miesięcy temu w „Sporcie Wodnym" obecnie chcemy zatrzymać się nad artykułem znanego wioślarza niemieckiego, przebywającego stale w Szwajcarji *Józefa Fremersdorfa.* Nazwisko to jest dobrze znane starszej generacji wioślarskiej, gdyż Fremersdorf startował przed wojną w słynnej osadzie Mainzer Ruder Verein, która w r. 1913 wygrała mistrzostwo Europy na ósemkach. Ogółem zaś odniósł on 73 zwycięstw regatowych, co wskazuje wyraźnie na jego wysoką klasę. Sukcesy Fremersdorfa są o tyle doniośłejsze, iż odniósł on je, mimo braku odpowiednich warunków fizycznych. (67 kg wagi).

W artykule swym, zamieszczonym najprzód w piśmie szwajcarskiem „Sport" a następnie przedrukowanym w niemieckim „Wassersport". Fremersdorf wskazuje na to, iż po wojnie we wszystkich gałęziach sport poszedł szalenie naprzód dzięki zastosowaniu techniki, opierającej się o jaknajnaturalniejsze ruchy sportowca. Dzięki właśnie temu naturalnemu sposobowi pływania, pływacy australscy i amerykańscy a obecnie japońscy doszli do swych fantastycznych rekordów.

Ten właśnie nowoczesny styl, stosowany w całym sporcie, pozwala na oszczędzanie wielkiego zapasu sił, który dotychczas był niepotrzebnie zużywany na staranie się o ortodoksyjne wykonanie prawideł.

Jako przykład wzorowego wiosłowania nowym stylem Fairbairna uchodzi znana osada Pembroke College Cambridge, która przed dwoma laty rozgromiła najlepsze osady niemieckie w Moguncji. Fremersdorf zwraca uwagę na to, że branie tej osady za wzór jest niewłaściwem, gdyż wioślarze wiosłujący w niej byli ludźmi wyjątkowo silnymi. Waga ich wynosiła 84, 75, 80 i 82 kg przy wieku 18, 20, 22 i 24 lat. Byli to zatem ludzie w najlepszym okresie rozwoju. Ponadto wioślarze ci w przeddzień regat wcale nie dostosowali się do wskazań treningowych i spędzili wieczór, jak zawodowi piłkarze na urlopie.

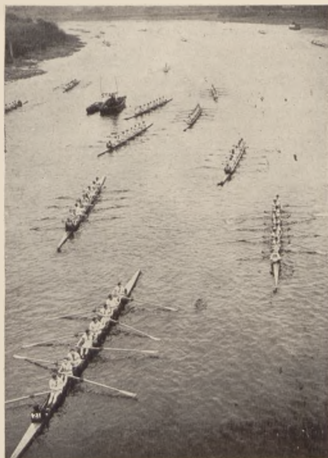
Wyższość ich zatem polegała na wyjątkowej sile i technice. To samo wrażenie odnosiło się w Amsterdamie, gdzie lekka dwójka angielska (drugi garnitur) walczyła z ciężkimi i silnymi Niemcami, wiosłującymi stylem typowo ortodoksyjnym, oraz gdzie równie lekka ósemka angielska toczyła zaciętą walkę z ósemką amerykańską, składającą się z ludzi wybitnie silnych i wysokich.

Swoje sukcesy zawdzięcza wioślarstwo angielskie, według Fremersdorfa, właśnie pójściu śladami Fairbairna i nastawieniu całego swego sportu na tę drogę „naturalnego" wiosłowania. Jest rzeczą jasną, że śladami tymi idzie dzisiaj cała Europa.

Jeśli porównamy dwie osady: jedną, wiosłującą stylem Fairbairna i drugą, używającą stylu ortodoksyjnego, to zauważymy, że osada ortodoksyjna wygląda bardzo ładnie z naprężonymi wszystkimi mięśniami, wyprostowanym krzyżem, ale przytem robi wrażenie sztucznej i sztywnej. Odnosi się wrażenie, że przy tym stylu „trzymanie" odpowiednie korpusu jest rzeczą najważniejszą.

Inne wrażenie odnosi się patrząc na osadę Fairbairna. Tam nie ma już sztywności, a właśnie szczególnie zwraca uwagę płynność i lekkość całości. Mięśnie są wprawdzie naprężone, ale przytem zachowują elastyczność i zdolność do szybkiej reakcji. Praca nóg i rąk zostaje skoordynowana. O ile przy ordodoksie najważniejszą rzeczą było wahnięcie kręgosłupa, tak tutaj najważniejszą rzeczą jest posunięcie siodła i silny atak nogami. Mimowoli więcej patrzy się tutaj na świetną pracę wiosła we wodzie, niż na pracę korpusu. Cała uwaga wioślarza zostaje więc skoncentrowana na jaknajszybszem posunięciu łodzi, a nie na „trzymaniu" kręgosłupa w należytej pozycji.

Fairbairn wielokrotnie podkreślał, że nie wymyślił on żadnego nowego stylu, i że nie uczy żadnego stylu. I rzeczywiście przyznać trzeba, że zrobił on dla wioślarstwa znacznie więcej, a mianowicie odkrył nowy sposób zapatrywania się na wioślarstwo, odkrył naturalne podstawy wiosłowania, które dotychczas były przywalone kanonami „ortodoksu". Dzięki tej właśnie zmianie zapatrywania do dużych sukcesów mogą dojść w wiosłowaniu ludzie lżejsi, którzy dotychczas byli odsunięci w cień przez wielkie postacie ciężkich wioślarzy, dominujących przy ortodoksie. Jest to skutek zastosowania właśnie koncentracji sił nóg i kręgosłupa przy silnem zaatakowaniu nogami i posunięciu siodła. Są to więc rzeczy już dużo mniej za-



Wyścig główny Tamizy (Head of the River) w którym wzięło udział aż 125 ósemek. Bieg wygrał pewnie London Rowing Club w czasie 19 min. 41 sek. Trasa taka sama, jak biegu Cambridge-Oxford

leżne od wysokości, niż to miało miejsce przy wahaniu kręgosłupa w stylu ortodoksyjnym.

Styl ortodoksyjny opierał się o podstawę, jaką było wiosłowanie na stałem siodle. Tymczasem Fairbairn zarzuca zupełnie wiosłowanie na stałem siodle i radzi uczyć nowicjuszy odrazu na siodle ruchomem, wychodząc z założenia, że wiosłowanie na stałem siodle jest niepotrzebne a przytem przedłuża naukę wiosłowania i nuży kandydata na wioślarza. To właśnie stałe siodło powodowało, że wyrobienie wioślarza trwało dawniej ok. 3 lat. Przy szkoleniu tem w wielu wypadkach kwestja posuwania łodzi stała na drugiem miejscu a najważniejszem była tresura mięśni i kości. Wioślarz, nauczony zasad wiosłowania na siodle stałem, musiał niemal od nowa zaczynać na siodle ruchomem, przyczem stosowano jeden szablon dla wszystkich. Sztywność i sztuczność były cechami charakterystycznemi tego starego stylu, które przytem wpływały także ujemnie na pęd łodzi choćby ze względu na konieczność zatrzymywania siodła przy ataku i zakończeniu pociągnięcia. Wiele sił z tego powodu szło na marne.

Fairbairn porzuca więc tę całą sztuczność. Swoboda przy pociągnięciu kieruje siłę po linji ręce-nogi i korpus-dźwignią wewnętrzną, pozwalając na użycie siły na jaknajszybsze przesunięcie wiosła przez wodę, przyczem punkt ciężkości tej siły koncentruje się w dolnej części korpusu wioślarza a nie w górnej, jak przy ortodoksie.

Zwolennicy ortodoksu także zwracali uwagę na siłę i czystość pociągnięcia wiosła we wodzie, ale uwaga ta była zepchnięta na drugi plan na korzyść utrzymania odpowiedniej pozycji ciała. Ręce przy ortodoksie pracowały wyprostowane jaknajdłużej, według teorji Fairbairna ręce poczynają kurczyć się już wtedy, gdy nogi wyprostowują się. Praca ramion i nóg jest więc ściśle uzależniona od siebie, jest zsynchronizowana.

Oczywiście teorja Fairbairna stwarza wiele niebezpieczeństw, na które zwraca uwagę zarówno Fremersdorf, jak Hans Walter jak wielu innych. Nie należy przytem sądzić, że nauczenie wiosłowania według stylu Fairbairna jest łatwiejsze, niż przy ortodoksie.

Oczywiście, że przy zastosowaniu teorji Fairbairna odpada wiele trudnych i niezrozumiałych dla nowicjusza rzeczy, ale wzamian za to przychodzi należyte zrozumienie doniosłości pracy wiosła we wodzie, czego niestety nie wszyscy wioślarze odpowiednio doceniają. Widzi się przecież, jak osady nasze fizycznie naśladują wioślarzy angielskich, ale w efekcie wychodzi to pożal się Boże.

Rzecz jasna, że uczenie wiosłowania według zasad Fairbairna jest znacznie szybsze i osada prędzej dochodzi do pewnej przeciętnej formy. Jest to skutkiem starania o równomierność pracy wioseł we wodzie a nie o idealny wygląd korpusów. Osady angielskie trenowane przez instruktorów ze szkoły Fairbairna przejeżdżają olbrzymie odległości bez zatrzymywania się. Oczywiście nie może być mowy o wiosłowaniu na pełną siłę przy takich dystansach, niemniej jednak wioślarze przez cały czas muszą skupiać swoją uwagę na wiosłowaniu i baczyć, by odbywało się ono w myśl podstaw teoretycznych.

Fairbairn, jak to już wielokrotnie miałem sposobność podkreślać, — uczy przedewszystkiem myśleć o samym sobie. Nie ustawiczne poprawianie przez instruktora, ale praca nad sobą samym, oto droga, która według Fairbairna prowadzi do celu. Wymaga to oczywiście dużo większego wysiłku myślowego od ucznia, ale też czyni wiosłowanie nie mechaniczną pracą, ale przyjemną i interesującą pracą sportową.

Nie można tych rzeczy brać zbyt lekko i powierzchownie. Teorja naturalnego wiosłowania musi być odpowiednio rozumiana. Nie można brać jedynie pod uwagę tego, że wioślarze Fairbairna wiosłują tak, jak się im podoba, ale trzeba przejść z nimi całą tę drogę, jaką oni musieli przebyć, by dojść do obecnych wyników. Zbyt pochopne naśladownictwo zwłaszcza w naszych warunkach może doprowadzić do wręcz niepożądanych wyników.

Dobrzeby było, gdyby ogół naszych instruktorów zaznajomił się z trzema książkami Fairbairna. Niestety, ukazały się one jedynie w języku angielskim, stosunkowo mało znanym w kołach naszych wioślarzy. Bez gruntownego wniknięcia zaś w istotę rzeczy, głoszonych przez Fairbairna, to znaczy opierając się jedynie na zewnętrznych oznakach „stylu" Fairbairna, trudno lansować nowy styl. Przed kilkoma tygodniami w jednym z dodatków sportowych filmowych wyświetlano zdjęcia z biegu Cambridge - Oxford, gdzie właśnie widać było w całej rozciągłości różnice między pracą osady „ortodoksyjnej" (Oxford) a osadą, pracującą według wskazówek Fairbairna (Cambridge). Był to naprawdę pouczający film i w całej rozciągłości wykazał szkodę, jaką ponosimy przez brak szkolnych filmów sportowych, jakie dawno już posiadają Niemcy i Anglicy.

W. Długoszewski

„Wędrujmy na Wileńszczyznę"

Zbliżający się sezon wioślarski nie ma właściwie w tym roku w zakresie turystyki wodnej żadnego zasadniczego, ogólnego hasła.

Żadnego hasła sztandarowego, o charakterze apelu społecznego i narodowego, o znaczeniu państwowem i zasięgu jaknajszerszym.

W 1933 r. i 1934 r. hasłem takiem był spływ do morza, do Bałtyku, do Gdyni.

W roku bieżącym brak odpowiedniego poruszenia wśród rzesz turystów wodnych.

Organizowany w lipcu b. r. przez L. M. spływ do Morza Czarnego nie ma właściwie podobnego charakteru.

Tegoroczny spływ do Morza Czarnego jest raczej wyprawą dla osobistej przyjemności wycieczkowiczów, a dla licznych uczestników tylko furtką do wypadu „zagranicę".

Nie może on mieć pod względem społecznym i politycznym tego znaczenia jakie miały tamte dwa poprzednie spływy.

Zapewne też i pod względem frekwencji i efektu propagandowego będzie musiał wypaść o wiele słabiej. Odgrywać tu będą dużą rolę zarówno zupełnie specyficzne warunki samego spływu jak i kategoryczne rygory i przepisy dla uczestników.

Sądząc z różnych danych, ilość uczestników tej imprezy zapowiada się znacznie skromniej, niż w spływach do Gdyni.

Nawet przy możliwie najliczniejszej frekwencji tegorocznych spływowiczów pozostanie jednak w kraju jeszcze cała liczna rzesza wodniaków żądnych ruchu, żądnych wypraw, rwących się do wędrówek.

Pozostanie cała rzesza tych, którzy nie mogą się porwać na podobną trasę czy to ze względu na technikę osobistą, czy ze względu na wymagany ekwipunek. Cała rzesza tych co nie mogą podołać odpowiednim kosztom lub nie mogą zastosować się do ściśle przepisanych terminów. Nie mogą, lub nie chcą, to też trzeba uwzględnić.

Zdaje się jednak, że napewno, z tych czy innych względów, pozostanie w kraju więcej, niż wyjedzie ze spływem.

Tę całą pozostałą masę wodniaków należałoby skierować w jakimś określonym kierunku. Należałoby tej masie wskazać pewien cel.

Trzebaby wyzyskać jej ruch i pęd.

Trzebaby wyzyskać jej siłę i inercję w kierunku najbardziej dla ogółu pożytecznym.

Rozsiani po wszystkich polskich rzeczkach i jeziorkach, rozpłyną się, rozsypią po terenie bez efektu i bez korzyści dla ogółu.

Zatracą się i oni i rezultat ich „wyczynów".

Natomiast skierowani ku pewnemu celowi mogą nietylko użyć własnej przyjemności, ale mogą też zamanifestować naszą siłę i zdziałać wiele dobrego.

Zdaje mi się obecnie, że dla tych szerokich mas najlepszem, najprawdopodobniejszem i najkorzystniejszem dla wszystkich hasłem na rok bieżący byłoby: „wędrujmy na Wileńszczyznę".

Zastanówmy się. Całe masy, całe rzesze wodniaków tak czy owak wyjadą jednak w lecie w teren, na wodę, na słońce, na powietrze.

Czy byłoby źle, gdyby te masy używały powietrza i słońca właśnie w tym zakątku kraju, a nie w innym i dlaczego właśnie w tym.

Wszystkie wody i wszystkie wycieczki w tym terenie sprowadzają nas na zakończenie podróży do Wilna. A w Wilnie chcielibyśmy, choć przelotnie, być w tym roku wszyscy.....

Kraj okoliczny folklorystycznie ciekawy, pejzażowo przepiękny poznać powinni wszyscy rasowi miłośnicy włóczęgi po Polsce.

Archaiczna niekiedy prostoda ludu, mieszany folklor kresowych rubieży, dziki prymityw i dzika swoboda są to atuty dość piękne i wystarczające same w sobie.

A czyż trzeba tu powtarzać wszystkie zachwyty i uniesienia literackie, jakie ciągle wyczytujemy o Wileńszczyźnie.

Bogactwo wód i różnorodność szlaków ogromna.

Jeziora Brasławskie, Dryświaty z okolicznemi, Ignalińskie, Żejmiana, Narocz i Naroczanka, Wilja i wiele, wiele innych ledwie przetartych szlaków.

Rozmaitość odpowiadająca wszelkim, najbardziej wybrednym gustom. A wszystkie szlaki prowadzą jednak przez Wilno....



Pierwszy obiad na wycieczce

Fot. L. Kołaczkowski

Skierowanie tam masowego ruchu turystyki wodnej miałoby poza egoistycznem samozadowoleniem turystów wodnych również i poważniejsze znaczenie i poważniejsze skutki.

Masowy najazd wycieczkowiczów z innych dzielnic Polski dałby odczuć miejscowej ludności jej łączność z całą Rzecząpospolitą, wzmocniłby jej skłonność raczej ku zachodowi niż ku wschodowi.

Zaświadczyłby, że oni tam, borykając się na swój sposób z lokalnem echem kryzysu, nie są pozostawieni sami sobie, że łączy się z nimi cały kraj, że ich rozumie, ceni i myśli o nich.

Nie bez efektu doraźnego byłyby też skromne złotówki rozsiane wśród ludności przez turystów za nabywane produkty, noclegi, pomoc czy przewozy.

Dawałoby to nietylko doraźny zarobek dla biedniejszej ludności.

Wzbudzałoby mimowolną życzliwość i sympatję dla gości z zachodu, a szacunek dla TEJ, która im tych turystów z zarobkiem przysyła.

Taki najazd turystów z całej Polski wzmocniłby tam poczucie zespolenia z pozostałemi dzielnicami, a dla nas byłby ćwiczebną manifestacją naszej zdolności do planowego i solidarnego działania.

Nie organizujmy tylko, na miłość Boską, żadnych spływów zbiorowych, wędrujących zastępami. Żadnych spływów ze ścisłemi terminami zbiórek i z komendami podawanemi gwizdkami czy trąbką.

Te tendencje organizacyjne wyładują się chyba dostatecznie podczas spływu do Konstancy.

Tu przeciwnie.

Wodniacy są indywidualistami, wodniacy lubią chodzić samopas i własnemi drogami.

Niechże ludzie jeżdżą jak chcą, bez gwizdków i bez terminów, ale co najważniejsze, niech jadą masowo, tłumnie choć samopas.

Zaagitujmy masy tak, aby każdy kajakowiec wziął sobie w tym sezonie za punkt honoru odwiedzenie Wileńszczyzny.

Piękną rolę mógłby tu odegrać PZK.

Przedewszystkiem należałoby rzucić odpowiednie hasło ze strony czynnika autorytatywnego i nadrzędnego.

Któż lepiej nadawałby się wśród wodniaków do tej roli jak nie PZK. Hasło to trzeba nietylko nadać, ale też odpowiednio zareklamować, zaagitować, poprostu narzucić masom.

Podwyższenie wskaźnika liczbowego do odznaki turystycznej za tegoroczne wędrówki po wodach wileńskich już samo w sobie ściągnęłoby w te strony zwiększone zastępy wodniaków.

Wreszcie umiejętne reklamowanie i organizowanie seryjnych, perjodycznych, a niezbyt licznych wycieczek zbiorowych (powyżej 10 osób) z głównych miast i klubów pod egidą PZK dawałoby możność ściągnięcia i tych, dla których koszta przejazdu są często główną przeszkodą odstręczającą.

Odpowiednio rozgłoszone i odpowiednio obstawione hasło wędrówek po Wileńszczyźnie mogłoby mieć duże powodzenie, a temsamem i niejaką wartość społeczną.

I nie jest jeszcze nato w tym roku zapóźno.

Sezon naprawdę jeszcze się na dobre nie zaczął, a parę zasadniczych decyzji organizacyjnych można powziąść bardzo szybko.

Dr. K. Klein.

Sporty uzupełniające kajakowca

Sport kajakowy w Polsce wprowadzili sportowcy z przeszłością w innych działach. Narciarze, Lekkoatleci, Pływacy, piłkarze, wioślarze, gracze w różne piłki, poznali sport przestrzenny różny od boiskowych i poszli za nim. Dziś duży procent młodzieży uprawia tylko kajakarstwo, innych sportów nie zna — często celowo unika. Turystyka bowiem, słusznie, czy nie słusznie, ma się za coś lepszego od „cyrkowego" sportu, lekceważy go, pomiata nim.

Podstawą sukcesów, czy to w sporcie, czy w turystyce jest sprawność fizyczna. Ona decyduje o wyniku. Wynik sportowy, jest zaś składową wielu czynników zarówno wrodzonych, jak i nabytych. Dobra konstytucja fizyczna i zdrowie, to jeszcze mało. Trzeba pracy — wychowania fizycznego, treningu, by posiąść wysoką sprawność cielesną, — trzeba zaprawy sportowej, by zdobyć niezbędne w walce cechy charakteru.

Sport kajakowy ma wprawdzie więcej od innych cech rozrywkowo-odpoczynkowych. Więcej kontemplacji, a więc elementów raczej uczuciowych niż wolowych. Lecz i on wymaga wytrwałości, uporczywości, odwagi, decyzji, szybkości, i siły. Nie jest bynajmniej sportem romansowych panienek i sentymentalnych niedołęgów. Obok kajakowców szukających tylko wypoczynku, tylko słońca, wody i powietrza, — jest dużo takich, co szukają intensywnego ruchu, przygody, walki. Jest przecież sport kajakowy sportem „całą gębą", kto nie wierzy, niech popatrzy naprzykład na takie zawody dwudniowe na Dunajcu na trasie 100 km.!

Są i między kajakowcami „wyścigowcy"!

Dawno już w innych sportach wyzbyto się prymitywnej recepty na trening, która mówiła mniej więcej tak: „Chcesz wygrać setkę, biegaj setkę, reszta to nie twoja specjalność!" Niestety kajakowcy, jeszcze często, tak myślą. Trening kajakowca, to dla nich pływanie na kajaku. Czas porzucić powyższy fałszywy pogląd.

Okres zaprawy podzielić należy na dwa wielkie okresy. Pierwszy, to okres zdobywania formy fizycznej, drugi, to okres zdobywania techniki, taktyki, rutyny, — słowem zawodniczego szlifu.

Okres wstępny, — zaprawa ogólna, — ma za zadanie wydoskonalić działanie i współdziałanie naszych mięśni, systemów krążenia i nerwowego, oddechowego i t. d. Każdy sport ma swoje specjalne żądania, wymaga dostosowania organizmu do swych potrzeb. Z drugiej znów strony psuje harmonję całości, przez zbyt intensywny rozwój jednych partji, ze szkodą innych.

Zaprawa ogólna ma na celu doprowadzić organizm do wysokiej sprawności, przy jednoczesnem utrzymaniu jego harmonji. Tylko uprawiając sporty uzupełniające możemy osiągnąć najwyższy możliwy dla nas wynik, — tylko dzięki sportom uzupełniającym nie doprowadzimy ciała do jednostronnego przystosowania się, deformacji i degeneracji.

Ćwiczeń i sportów uzupełniających, jako pobocznych, nie należy uprawiać w sposób zawodniczy. Mają być one tylko środkiem do celu. Celem ich ma być zwiększenie gibkości, siły, szybkości i wytrzymałości, przy zachowaniu jednak ogólnej harmonji w rozwoju fizycznym. Zaprawa ogólna musi nauczyć ponadto doskonałego współdziałania poszczególnych grup mięśniowych, przy jednoczesnem zachowaniu zasady ekonomji wysiłku. Jak to wszystko wygląda w praktyce? Oto tak.

Sezon jesienny.

1 dzień w tygodniu marszobiegi. Ciepłe ubranie treningowe, obuwie do biegów naprzełaj. Teren urozmaicony, pagórki, krzaki, rowy, płoty. Szybki marsz z wymachami rąk, pareset metrowe podbiegi. Dystans od 2—3 km zwiększać w ciągu 6—8 tygodni do 8—10 km. Bieg „w tempie", lecz nie wyścig. Uwaga skierowana na regularny oddech.

Co pewien czas powtarzać trasę dla porównania czasu przebiegu. Prócz biegów naprzełaj gimnastyka. Codzienna, poranna — dla rozruszania organizmu i utrzymania go w formie. Raz na tydzień godzina — korygująca zaniedbania w naszym ogólnym rozwoju fizycznym, przygotowująca do specjalnych wymagań wioślarstwa kajakowego (ramiona, barki, krzyż), wreszcie rozluźniająca zastałe, sztywne mięśnie, wiązadła, stawy.

Intensywna gimnastyka np. systemem Bukha, będzie na miejscu.

Wzrost gibkości, nie może jednak w żadnym razie pociągać za sobą utraty szybkości, lub siły. Gry biegowe np. szczypiorniak., koszykówka, — zaprawa bokserska, pozwolą pogodzić nasze wymagania.

Obok biegania najważniejszym sportem uzupełniającym kajakowca jest pływanie.

Kajakowiec musi być żżyty z wodą, czuć się w niej, jak ryba, i to nietylko w betonowym basenie, ale i na rzece dzikiej, o szybkim prądzie, pełnej wirów, fali. Kajakowiec musi być więcej niż pływakiem, bo pływakiem-ratownikiem. Wymagają tego od niego przepisy zarówno regulaminów sportowych, jak i prawa państwowego — żądające spieszenia z pomocą w wypadku tonięcia.

Pływanie, jako sport najzdrowszy i najważniejszy, bo dający opanowanie niebezpiecznego żywiołu, jest zarazem doskonałym korektorem jednostronnego rozwoju fizycznego kajakowca. Crawl poprawia garb wioślarski, wszystkie style pływackie rozwijają doskonale mięśnie brzucha, krzyża i nóg, ćwiczą serce i oddech, pobudzają najwydatniej krążenie, przyśpieszają przemianę materji. To też kajakowiec winien niedługo lecz jaknajczęściej pływać. Trening pływacki traktowany zawodniczo, wymagający, zbyt długiego przebywania w wodzie jest jednak dla kajakowca regatowca szczególnie w okresie zawodów niewskazany, gdyż zmniejsza jego sprawność kajakową (podobnie zresztą, jak i wioślarzy, lekkoatletów i t. d.).

Zimą naturalnym sportem jest narciarstwo. Harmonijne zatrudnienie mięśni całego ciała, idealne warunki pracy, zbliżają te na pozór odległe gałęzie.

Próbą wyrobienia kajakowca powinno być zdobycie odznaki sportowej „POS", odznaki pływackiej, ogólnej i za ratownictwo i innych.

Czas, poświęcony na opanowanie i uprawę sportów uzupełniających, nie będzie stracony. Wróci się stokrotnie, gdyż, obok harmonijnego rozwoju fizycznego, da świetną zaprawę ogólną, dopiero na której da się — budować zaprawę zawodniczą specjalną, obejmującą technikę wiosłowania, startu, zrywów w torze, finiszu, — da się uczyć umiejętnej gospodarki swemi zasobami energji, aby w danej chwili umieć wyładowywać tylko niezbędne minimum, a na rozgrywce rzucić, wszystkie swoje zasoby, — odeprzeć atak — zwyciężyć.

Sporty uzupełniające potrzebne są nietylko regatowcom, — w równej, a może większej mierze ogółowi kajakowców-turystów, którym odkrywają nowe horyzonty sportu, nowe jego korzyści i radości.

Tomasz

KAJAKIEM Z WARSZAWY *Nakładem Gł. Księgarni Wojskowej.* Cena egz. zł. 5.50.

Ruch kajakowy zupełnie wyraźnie nietylko rozwija się, ale i krzepnie.

Najlepszym dowodem jest pojawianie się coraz częściej różnorodnych prac i coraz doskonalszych wydawnictw poświęconych tej dziedzinie. Obecnie literatura kajakowa wzbogaciła się znów o jedną książkę, książkę nietylko b. aktualną i b. potrzebną, ale i bardzo wygodną dla każdego turysty-kajakowca.

Przewodnik Podhorskiej-Okołów może służyć za wzór celowego, umiejętnego, dokładnego i sumiennego przewodnika.

Naogół przewodniki mają charakter raczej suchy i treściwie nudny. Przewodnik „Kajakiem z Warszawy" ożywiono umiejętnemi opisami ogólnemi, oraz subjektywnemi wrażeniami i przeżyciami z poszczególnych szlaków.

Tak więc turysta zostaje „literacko" wprowadzony w teren, przygotowany do tego co go oczekuje na danym szlaku. W ten sposób objaśnia się popularnie rodzaj i charakter każdej z licznych tras, aby każdy mógł sobie wybrać to, co mu dogadza i odpowiada.

W drugiej części pracy podano dokładny opis każdej wycieczki, uwzględniając właściwość trasy, kilometraż, osobliwości i napotykane przeszkody.

Wszystkie opisane szlaki autorka przebyła na wiośle sama. Podawane przez nią szczegóły zasługują na zupełną wiarogodność, można więc na nich śmiało polegać.

Opisy poszczególnych wycieczek zaopatrzono w informacje pożyteczne dla turysty, jak sposoby dojazdu i komunikacyj powrotnych, odległości a nawet ceny furmanek.

W ten sposób opracowano 60 wycieczek na wszystkich szlakach, które są dostępne dla kajaka w okolicy Warszawy.

Bardzo dobrym pomysłem było dołączenie przejrzystych rozkładów połączeń kolejowych, autobusowych i wodnych z poszczególnemi punktami opisanych wycieczek. Mamy tu, według szlaków, podane wszelkie połączenia umożliwiające dojazd i powrót z każdego odcinka.

Załączona, b. dobra, mapka orjentacyjna pozwala nam natychmiast, podręcznie zorjentować się zarówno w samych trasach wodnych jak i w połączeniach komunikacyjnych.

Posiłkując się tem dziełkiem musimy tylko podziwiać nadzwyczajną pracowitość i skrupulatność autorki.

Przewodnik ten może poprostu służyć za wzór, jak wspomniałem, dla tego rodzaju opracowań.

Dla rozwoju turystyki wodnej w okolicach Warszawy ma on znaczenie bardzo duże.

Ułatwia ją znakomicie.

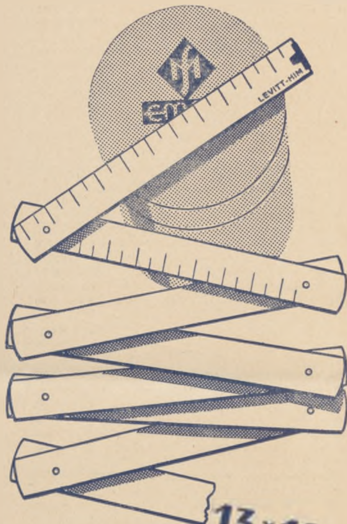
Z przewodnikiem Podhorskiej-Okołów zbędne jest podczas planowania wycieczek szperanie po rozkładach jazdy, szukanie na mapie i w opisach, wypytywanie.

Wszystko co może nam się przydać, co może nam być potrzebne podano nam tu już gotowe, usystematyzowane i nawet przetrawione.

Wystarczy wybrać trasę i słuchać przewodnika.

Turystom chcącym odbywać wycieczki wodne w okolicach Warszawy można polecać ten przewodnik jak najgorręcej.

Będą mieli dobrego doradcę i prawdziwego przyjaciela pod ręką. Moznaby sobie życzyć tylko, żeby całokształt wód polskich mógł być w taki sposób udostępniony dla turystyki. Prawdopodobnie jednak nieprędko znajdzie się ktoś, ktoby z podobnym nakładem pracy, z podobną drobiazgowością, sumiennością i znajomością rzeczy chciał opracowywać ten temat.



ŻYRARDÓW
TOWARZYSTWO ZAKŁADÓW ŻYRARDOWSKICH
SP. AKC
WARSZAWA, UL. TRAUGUTTA 8
Wyroby lniane i bawełniane
Płótna żaglowe, oponowe surowe i impregnowane
Płótna plecakowe,
ubrania płócienne, tkaniny kąpielowe, płaszcze, ręczniki, dywaniki i rękawice
SKLEP DETALICZNY W WARSZAWIE, PLAC MAŁACHOWSKIEGO 2

KAJAKI SKŁADANE
PIAST
piękne
trwałe
stateczne



ZAKŁADY KAUCZUKOWE
»PIASTÓW« SP. AKC.
WARSZAWA, ZŁOTA 35
Oddziały i przedstawicielstwa:
KATOWICE, ul. Moniuszki 6. Telefon 312-62.
POZNAŃ, ul Działyńskich 3. „ 11-67.
LWÓW, Fa. Scott i Pawłowski, Akademicka 5.
KRAKÓW, D. H Silberstein, ul. Skawińska 5.
BYDGOSZCZ, A. Florek, Jezuicka 2. Tel. 18-30.
ŁÓDŹ, Fa. Küster, Piotrkowska 171. Tel. 107-27
WILNO, ul. Zawalna 16. Tel. 19-84.
GDAŃSK, ul. Poggenpfuhl 10. Tel. 212-82.

ŻEGLARZ
AL. JEROZOLIMSKIE 27
SPRZĘT i UBIORY ŻEGLARSKIE
KAJAKI



NA ŁODZIE i KAJAKI
DYKTY
WODOODPORNE
ODZNACZONE 2 ZŁOTEMI
medalami Minister. Przem. i Handlu
SPORTÓW WODNYCH
fabr. B-cia Konopaccy-Mosty
wyłączne zastępstwo firma
„JANOR"
HANDEL i PRZEMYSŁ DRZEWNY Sp. z o. o.
w Warszawie, ul. 6 sierpnia 18, tel. 9.43-02

ŻAGLE i sprzęt żeglarski, LINKI wszelkiego rodzaju
PASY korkowe Koła ratunkowe, Poduszki gumowe,
Wiosła, Płótna żaglowe i namioty
„Linka" Warszawa, ul. Marszałkowska 135, tel. 5-96-28
Katalogi wysyłamy na żądanie Ceny konkurencyjne

SILNIKI PRZYCZEPNE „LAROS" (ITALJA)
SZCZYT EKONOMJI W ZUŻYCIU PALIWA
(PIĘĆSETKA 3,5 KG. BENZYNY NA GODZ.)
SILNIKI DO KAJAKÓW ŚLIZGACZE, MOTORÓWKI
Z. MAJEWSKI, Warszawa, Kopernika 12 tel. 5-00-41,
WŁASNA PRZYSTAŃ „LAROS" NA WIŚLE, WYBRZEŻE KOŚCIUSZKOWSKIE 2, tel. 9.00 32
obok mostu PONIATOWSKIEGO
DEMONSTROWANIE OBSŁUGA WYNAJEM MOTORÓWEK



Ceny ogłoszeń: 1 strona zł. 300, 1/2 strony zł. 155, 1/4 str. 80, 1/8 strony zł. 45, w tekście o 50% drożej.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI, WARSZAWA, BRONISŁAWA PIERACKIEGO 15 — TEL. 670-56.
Prenumerata „Sportu Wodnego" wynosi półrocznie Zł. 10, rocznie Zł. 20.
Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się. Ogłoszenia i prenumerata zagr. 50% drożej. Konto w P. K. O. Nr. 6013
Wydawca „WAW" Warszawska Agencja Wydawnicza S-ka z o. odp. *Redaktor MIECZYSŁAW MAJCHER*

Drukarnia W. Merkel, A. Kowalewski i S-ka, Warszawa, Chłodna 37, Tel. 669-46.